



SIEDEM SPOJRZEŃ NA WĄWÓZ OLDUWAI

Mike Resnick



Michael Diamond Resnick (ur. 5 marca 1942), bardziej znany jako **Mike Resnick**, amerykański pisarz i redaktor science fiction.

Urodził się w Chicago. Od dawna jest również członkiem fandomu science fiction. Jego córka, Laura Resnick, również tworzy science fiction.

Siedem spojrzeń na wąwóz Olduwai

Wczorajszej nocy stworzenia znów się pojawiły.

Księżyc skrył się właśnie za chmurami, kiedy usłyszeliśmy pierwszy szelest w trawie. Potem zapadła absolutna cisza, jakby wiedziały, że słuchamy, i nagle rozległy się znajome wrzaski i pohukiwania, gdy stworzenia podbiegły bliżej i stojąc zaledwie pięćdziesiąt metrów od nas, nadal krzycząc, zaczęły prężyć się agresywnie.

Fascynują mnie, gdyż nigdy nie pokazują się za dnia, a jednak brak im jakichkolwiek cech charakterystycznych dla zwierząt, prowadzących nocny tryb życia. Nie mają przesadnie wielkich oczu, ich uszy nie poruszają się niezależnie od siebie, a nogi ciężko stąpają po ziemi. Stwory te budzą lęk u większości członków naszego zespołu, a choć ciekawią mnie niepomiernie, nie miałem dotąd okazji, by wchłonąć i zbadać jednego z nich.

Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że moja zdolność wchłaniania przeraża mych towarzyszy bardziej niż obecność stworzeń, choć nie ma po temu najmniejszych powodów. Mimo iż według standardów mojej rasy jestem jeszcze dość młody, przyszedłem na świat wiele tysięcy lat wcześniej niż ktokolwiek z naszej grupy. Można by sądzić, iż - zważywszy ich wykształcenie - rozumieją, że każda cecha, występująca u kogoś w moim wieku, musi z definicji mieć kluczowe znaczenie dla jego przetrwania.

Niemniej jednak ta moja zdolność niepokoi ich. Więcej -

stanowi dla nich zagadkę, podobnie jak moja pamięć. Oczywiście ja sam uważam ich pamięć za wyjątkowo mało sprawną. Wyobraźcie sobie tylko - musieć uczyć się wszystkiego podczas jednego życia, rodzić się w stanie całkowitej ignorancji! Znacznie lepiej jest odłączyć się od rodzica z całą jego wiedzą, zmagazynowaną w naszym umyśle, tak jak wiedza mego rodzica trafiła do niego, a po nim - do mnie.

Ale też po to właśnie znaleźliśmy się tutaj: nie aby porównywać nasze podobieństwa, lecz

badać różnice. A nigdy nie istniała rasa bardziej różniąca się od innych niż Człowiek. Od chwili gdy wkroczył śmiało między gwiazdy z tej właśnie planety, miejsca jego narodzin, do momentu jego śmierci minęło zaledwie siedemnaście tysięcy lat, lecz podczas tego krótkiego okresu zapisał w historii Galaktyki rozdział, którego nikt nie zapomni. Zagarnął na własność gwiazdy, skolonizował milion światów, żelazną ręką władał olbrzymim imperium. W szczycie swej potęgi nikomu nie okazywał litości i nie prosił o nią, kiedy rozpoczął się jego upadek. Nawet teraz, czterdzieści osiem stuleci po wymarciu tej rasy, jej osiągnięcia i klęski nadal podniecały naszą wyobraźnię.

I właśnie dlatego znaleźliśmy się na Ziemi, dokładnie w miejscu, w którym ponoć narodził się Człowiek - w skalistym wąwozie, gdzie po raz pierwszy przekroczył ewolucyjną barierę, spojrzał ku gwiazdom i poprzysiągł sobie, że pewnego dnia będą należały do niego.

Naszym przywódcą jest Bellidore, Starszy ludu Kragenów, o pomarańczowej skórze i złocistej sierści, mądry i cierpliwy. Bellidore doskonale zna się na zachowaniu istot rozumnych i rozstrzyga nasze spory, zanim jeszcze zorientujemy się, że się spieramy.

Oprócz niego do zespołu należą Bliźnięta Gwiazdny Pył,

migoczące srebrne istoty, które reagują na oba swe imiona i dokańczają nawzajem swoje myśli. Uczestniczyły już w siedemnastu wyprawach archeologicznych, ale nawet one były zdumione, gdy Bellidore wybrał je do tej najbardziej prestiżowej misji. Zachowują się jak monogamiczna para, choć nie widać u nich żadnych cech płciowych, a że, podobnie jak wszyscy pozostali, unikają fizycznego kontaktu ze mną, nie mogę zaspokoić ciekawości w tej kwestii.

W skład naszej grupy wchodzi też Moriteu, które jada ziemię, jakby to był przysmak, nie odzywa się do nikogo i śpi, wisząc na gałęzi pobliskiego drzewa. Z jakichś przyczyn stworzenia nie niepokoją go. Może uważają je za martwe albo też wiedzą, że śpi i że obudzić je mogą tylko promienie słońca. W każdym razie bez niego nie dalibyśmy sobie rady, tylko bowiem delikatne macki jego otworu gębowego zdolne są wydobyć odkryte przez nas pradawne obiekty z należytą ostrożnością.

Towarzyszą nam także przedstawiciele czterech innych gatunków: Historyk, Egzobiolog, Znacznik Ludzkich Wykopalisk i Mistyczka (przynajmniej zakładam, że to Mistyczka, gdyż nie potrafię znaleźć żadnej prawidłowości w jej zachowaniu, choć oczywiście może to być skutkiem mojej własnej krótkowzroczności; ostatecznie to, co robię, w oczach moich towarzyszy przypomina magię, mimo iż w rzeczywistości jest nauką, i to bardzo ścisłą.)

I wreszcie jestem też ja. Nie mam imienia, mój lud bowiem nie używa imion, lecz dla wygody towarzyszy przyjmuję na czas trwania ekspedycji przydomki Ten, Który Widzi. Jest on mylący, i to podwójnie: nie jestem nim, jako że moja rasa nie dzieli się na odmienne płcie, i nie zajmuję się widzeniem, lecz Czuciem Czwartej Klasy. Ponieważ jednak na samym początku wyprawy intuicyjnie pojąłem, że "czucie" znaczy dla mnie coś zupełnie in-

nego niż dla reszty zespołu, przez wzgląd za ich uczucia wybrałem mniej ścisłe miano.

Każdego dnia z zapalem wracamy do pracy, badając kolejne warstwy. Istnieje wiele oznak wskazujących, że kiedyś okolica ta tętniła życiem, że dosłownie roiło się tu od różnych istot, nie pozostało ich jednak zbyt wiele - jedynie kilka gatunków owadów i ptaków, nieco drobnych gryzoni i oczywiście stworzenia, które co noc nawiedzają nasz obóz.

Nasza kolekcja powoli rośnie. Fascynuje mnie obserwowanie towarzyszy przy pracy, gdyż pod wieloma względami stanowią oni dla mnie równie wielką zagadkę, jak moje metody - dla nich. Na przykład Egzobiolog musi jedynie przesunąć macką po powierzchni przedmiotu, by stwierdzić, czy był on kiedyś materia ożywioną; Historyk, otoczony złożonym sprzętem, potrafi określić datę powstania każdego przedmiotu - opartego na węglu albo nie - z dokładnością do dziesięciu lat, niezależnie od stopnia jego zniszczenia; i nawet Moriteu jest istotą piękną i zajmującą, gdy delikatnie oddziela znaleziska, wydobywając je z warstw, gdzie spoczywały tak długo.

Bardzo się cieszę, że wybrano mnie na członka tej ekspedycji.

*

Jesteśmy tu już od dwóch cykli księżycowych i nasze prace posuwają się powoli. Niższe warstwy zostały dokładnie wyeksploatowane tysiące lat temu (badania przeszłości Człowieka interesują mnie tak bardzo, że o mało nie użyłem słowa "ograbione" zamiast "wyeksploatowane", tak wielki gniew budzi we mnie brak znalezisk), a z przyczyn jak dotąd nieznanych w nowszych warstwach nie ma prawie nic.

Większość z nas jest zadowolona z dotychczasowych wy-

ników poszukiwań, zwłaszcza Bellidore, który twierdzi, że odkrycie pięciu niemal nietkniętych obiektów to niewątpliwy sukces.

Od czasu naszego przybycia moi towarzysze pracowali niestrudzenie. Teraz nadchodzi moment, bym ja także wypełnił swoje zadanie, i niecierpliwie wyglądam tej chwili. Wiem, że mój wkład nie jest ważniejszy niż praca innych, może jednak, kiedy porównamy i zestawimy

nasze odkrycia, zdołamy wreszcie zrozumieć, co uczyniło Człowieka takim, jakim był.

*

- Czy jesteś... - zapytało pierwsze z Bliźniąt Gwiazdny Pył. - ...gotów? - dokończyło drugie. Odparłem, że jestem gotów, więcej - nie mogę się już doczekać.

- Możemy cię... - ...obserwować?

- Jeśli nie budzi to w was niesmaku.

- Jesteśmy... - ...naukowcami - powiedziały. - Niewielu... - ...rzeczy... - ...nie potrafimy oglądać... - ...obiektywnie.

Powędrowałem na stół, na którym spoczywał obiekt.

Wyglądał jak kamień albo przynajmniej tak właśnie odbierały go moje zewnętrzne narządy zmysłowe. Był trójkątny, a krawędzie wykazywały ślady obróbki.

- Ile ma lat? - spytałem.

- Trzy miliony... - ...pięćset sześćdziesiąt jeden tysięcy... - ...osiemset dwanaście - odparły Bliźnięta Gwiazdny Pył.

- Rozumiem.

- To zdecydowanie... - ...najstarsze... - ...z naszych znalezisk.

Przez długi czas patrzyłem na niego, przygotowując się. Wreszcie powoli, ostrożnie, zacząłem odmieniać moją strukturę pozwalając, by moje ciało opłynęło kamień, zalało go, okryło,

wchłonęło jego historię. Kiedy staliśmy się jednością, poczułem cudowne ciepło i choć wyłączyłem zewnętrzne narządy zmysłowe, wiedziałem, że cały pulsuję i błyszczę z radości towarzyszącej odkryciu. Zjednoczyłem się z kamieniem i w zakamarku mojego umysłu, zajmującym się Czuciem, pojawił się ziemski księżyc, wiszący nisko, złowieszczo, tuż nad horyzontem...

*

Enkatoi obudziła się nagle tuż o świcie i ujrzała księżyc, wciąż jeszcze świecący wysoko na niebie. Po wszystkich tych tygodniach nadal wydawał jej się zbyt wielki, by wisieć na nieboskłonie - z pewnością lada moment runie wprost na planetę. Jej umysł wciąż przeżywał niedawny koszmar, spróbowała więc wyobrazić sobie znajomy, przyjazny obraz pięciu małych, niegroźnych księżyców, ścigających się na srebrnym niebie jej oczystego świata. Jedynie przez moment udało jej się utrzymać w myślach wizję - potem zniknęła, zastąpiona rzeczywistym obrazem wielkiego satelity.

Jej towarzysz zbliżył się do niej.

- Kolejny sen? - spytał.

- Identyczny jak poprzedni - odparła niespokojnie. - Księżyc świeci, choć jest już dzień, a potem ruszamy w dół ścieżką...

Spojrzał na nią współczująco i podsunął pożywienie.

Przyjęła je z wdzięcznością.

- Jeszcze tylko dwa dni - westchnęła, wodząc wzrokiem po sawannie - a potem odlecimy z tego okropnego miejsca.

- Ten świat nie jest wcale taki straszny - zaprotestował Bokatu. - Ma wiele zalet.

- Zmarnowaliśmy tu tylko czas - stwierdziła. - Planeta nie nadaje się do kolonizacji.

- To prawda - przytaknął. - Nasze plony nie wyrosną na tej

glebie, mamy też problemy z wodą. Ale nauczyliśmy się wielu rzeczy, rzeczy, które pomogą nam w końcu wybrać właściwy świat.

- Większości z tego dowiedzieliśmy się w pierwszym tygodniu pobytu - zauważyła Enkatai. - Reszta czasu była czasem straconym.

- Statek miał do zbadania inne planety. Nie mogli wiedzieć, że zdołamy tak szybko wyeliminować akurat tę.

Zadrżała w chłodnym porannym powietrzu.

- Nienawidzę tego miejsca.

- Kiedyś to będzie piękny świat - oświadczył Bokatu. - Czekaj jedynie na ewolucję brązowych małp.

W tym momencie w dali pojawił się ogromny, ważący jakieś sto siedemdziesiąt kilo pawian o potężnych mięśniach, klatce piersiowej porośniętej gęstym futrem i śmiałych, mądrych oczach. Nawet stojąc na czterech kończynach imponował swym rozmiarem, dwukrotnie przerastającym wielkie cętkowane koty.

- My nie możemy tu osiąść - ciągnął dalej Bokatu - ale jego potomkowie zapelniają kiedyś cały ten świat.

- Wydaje się taki potulny - mruknęła Enkatai.

- Bo one są potulne - zgodził się Bokatu, ciskając kęs jedzenia pawianowi, który podbiegł bliżej i podniósł go z ziemi. Powąchał swój łup, jakby rozważał, czy warto go skosztować i wreszcie, po chwili wahania, wsunął go do pyska. - Ale i tak opanują tę planetę. Trawożercy zbyt wiele czasu poświęcają na jedzenie, a drapieżniki wciąż śpią. Nie, osobiście głosuję na brązowe małpy. To piękne, silne, inteligentne zwierzęta. Wykształciły już kciuki, łączy je silne poczucie wspólnoty i nawet wielkie koty rzadko ważą się je zaatakować. Właściwie nie mają naturalnych wrogów. - Skinął głową, potakując własnym słowom. - Tak, to one w następnych stuleciach opanują ten

Świat.

- Nie mają wrogów? - powtórzyła Enkatai.

- Och, zapewne od czasu do czasu któryś z nich pada ofiarą kotów, ale nawet one nie atakują całego stada. - Spojrzał na pawiana. - Ten samiec byłby zdolny rozedrzeć na strzępy niemal każdego drapieżnika.

- Jak zatem wytłumaczysz to, co znaleźliśmy na dnie wąwozu? - naciskała.

- Swój obecny wzrost osiągnęły kosztem zwinności. To naturalne, że niekiedy jeden z nich spada ze skał i zabija się.

- Niekiedy? Znalazłam siedem czaszek, strzaskanych jakby od potężnego ciosu.

- Siła upadku - Bokatu wrzucił ramionami. - Nie twierdzisz chyba, że wielkie koty najpierw rozwalily im głowy, a dopiero potem pożarły?

- Nie myślałam o kotach - odparła.

- O czym zatem?

- O małych, bezogoniastych małpach, żyjących w wąwozie. Bokatu pozwolił sobie na pobłażliwy uśmiezek.

- Przyjrzałaś im się? Są cztery razy mniejsze od brązowych małp.

- Przyjrzałam się, i to uważnie - Enkatai nie ustępowała.

- One też mają kciuki.

- Same kciuki nie wystarczą.

- Żyją w cieniu brązowych małp i wciąż jeszcze nie wymarły - stwierdziła. - To mi wystarczy.

- Brązowe małpy żywią się liśćmi i owocami. Po co miałyby niepokoić bezogoniaste małpy?

- Nie tylko ich nie niepokoją - oznajmiła Enkatai. - One ich unikają. To dość dziwne u gatunku, który miałby kiedyś władnąć całą planetą, nie sądzisz?

Bokatu potrząsnął głową.

- Bezogoniaste małpy zabrnęły w ewolucyjny ślepy zaułek. Są zbyt małe, by polować na grubszą zwierzynę, za duże, aby wyżywić się tym, co znajdują w wąwozie, za słabe, by konkurować z brązowymi w walce o lepsze terytorium. Według mnie to wcześniejszy, prymitywniejszy gatunek, skazany na zagładę.

- Może - powiedziała Enkatoi.

- Nie zgadzasz się?

- Jest w nich coś...

- Co?

Enkatoi wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Budzą we mnie niepokój. Ich oczy - dostrzegam w nich ukrytą groźbę.

- Fantazjujesz.

- Może - powtórzyła.

- Dziś muszę napisać raporty - oznajmił Bokatu. - Ale jutro udowodnię ci, że mam rację.

*

Następnego ranka Bokatu wstał razem ze słońcem. Sam przygotował pierwszy posiłek, podczas gdy Enkatoi odmawiała modły, a potem, kiedy jadła, także się pomodlił.

- Teraz - oświadczył - zejdziemy do wąwozu i schwytny jedną bezogoniastą małpę.

- Po co?

- Żeby ci pokazać, jakie to łatwe. Może zabierzemy ją ze sobą jako maskotkę. Albo złożymy w ofierze w laboratorium i dokładniej zbadamy jej procesy życiowe.

- Nie chcę żadnej maskotki, a prawo nie pozwala nam zabijać zwierząt.

- Jak sobie życzysz - powiedział Bokatu. - Wypuścimy ją.

- Po co więc w ogóle mamy ją łapać?

- Aby udowodnić ci, że nie są inteligentne, bo gdyby były tak mądre, jak uważasz, nie zdołałbym żadnej złapać. - Podniósł ją z ziemi. - Ruszajmy.

- To głupie - zaprotestowała. - Dziś po południu przylatuje statek. Czemu po prostu na niego nie zaczekamy?

- Zdażymy wrócić - odparł pewnym siebie tonem. - To nie potrwa długo.

Uniosła wzrok ku czystemu błękitnemu niebu, jakby myślała wzywała statek. Tuż nad horyzontem wisiał księżyc - wielka, biała tarcza. W końcu odwróciła się do Bokatu.

- Dobrze, pójdę z tobą, ale tylko jeśli obiecasz, że będziesz wyłącznie obserwować i nie spróbujesz złapać żadnej z nich.

- Przyznajesz mi zatem rację?

- To, czy się z tobą zgodzę, czy nie, nie ma nic wspólnego z obiektywną prawdą. Mam nadzieję, że się nie mylisz, gdyż bezogoniaste małpy przerażają mnie. Ale nie mogę wiedzieć, czy masz rację, i ty też nie możesz.

Bokatu przyglądał jej się długą chwilę.

- Zgadzam się - rzekł w końcu.

- Zgadzasz się, że nie możesz wiedzieć?

- Zgadzam się żadnej nie złapać - odparł. - Chodźmy.

Podeszli do krawędzi wąwozu i rozpoczęli żmudną wędrówkę w dół stromego zbocza, dla utrzymania równowagi owijając swe kończyny wokół drzew i innych roślin. Nagle usłyszeli donośny wrzask.

- Co to było? - spytał Bokatu.

- Zobaczyły nas - odparła Enkatoi.

- Czemu tak sądzisz?

- Pamiętam ten odgłos z mojego snu - a księżyc wyglądał zawsze dokładnie tak, jak teraz.

- Dziwne - zastanawiał się głośno Bokatu. - Słyszałem je wiele razy, ale dziś ich krzyki wydają się głośniejsze.

- Może jest ich więcej.

- Albo bardziej się wystraszyły. - Obejrzał się za siebie. - Oto i powód - rzekł. - Mamy towarzystwo.

Enkatoi uniosła wzrok i ujrzała największy okaz pawiana, jaki dotąd zdarzyło jej się oglądać. Zwierzę szło za nimi w odległości jakichś pięćdziesięciu stóp. Kiedy ich oczy się spotkały, małpa warknęła i odwróciła wzrok, nie usiłowała jednak zbliżyć się ani uciec.

Podjęli przerwana wędrowkę i za każdym razem, gdy przystawali, aby odpocząć, widzieli pawiana, oddalonego od nich o te same pięćdziesiąt stóp.

- Czy według ciebie on wygląda na spłoszonego? - spytał Bokatu. - Gdyby te mizerne stworzenia mogły zrobić mu krzywdę, czy poszedłby za nami w głąb wąwozu?

- Niewiele dzieli odwagę od głupoty, a jeszcze mniej pewność siebie od zadufania - odparła Enkatoi.

- Jeśli miałby tu zginąć, to tak jak pozostałe - rzekł jej towarzysz. - Potknie się i spadnie.

- Nie zastanawia cię fakt, że wszystkie bez wyjątku spadły na głowę? - zapytała łagodnie.

- Połamały sobie wszystkie kości. Nie wiem, czemu fascynują cię jedynie czaszki.

- Ponieważ różne wypadki nie mogą powodować identycznych urazów.

- Masz wybujałą wyobraźnię. - Bokatu wskazał małą włochatą postać obserwującą ich z dołu.

- Czy to wygląda na istotę zdolną zabić naszego przyjaciela?

Pawian zmierzył przybysza wściekłym wzrokiem i warknął.

Bezogoniasta małpa patrzyła na niego, nie zdradzając

żadnych oznak strachu ani nawet zainteresowania. Po chwili odwróciła się i zniknęła w gęstych krzakach.

- Widzisz? - powiedział z satysfakcją Bokatu. - Jedno spojrzenie na brązową małą i znikła nam z oczu.

- Moim zdaniem nie wyglądała na przestraszoną - zauważyła Enkatoi.

- Kolejny powód, by wątpić w jej inteligencję.

Po kilku minutach dotarli do miejsca, w którym stała bezogoniasta mała. Tam przystanęli, zbierając siły, i ruszyli dalej, na dno wąwozu.

- Nic - oznajmił Bokatu, rozglądając się wokół. - Według mnie osobnik, którego widzieliśmy, był wartownikiem, i w tej chwili całe stado jest już o parę mil stąd.

- Zwróć uwagę na naszego towarzysza.

Pawian dotarł na dół i z napięciem węszył pod wiatr.

- Nie przekroczył jeszcze bariery ewolucyjnej - rzekł Bokatu z rozbawieniem. - Spodziewasz się, że zaczniesz szukać draieżników czujnikiem?

- Bynajmniej - Enkatoi także obserwowała pawiana. - Ale jeśli nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, powinien się odprężyć - a jak dotąd tak się nie stało.

- Zapewne dzięki temu udało mu się pożyć dostatecznie długo, by osiągnąć takie rozmiary -mruknął lekceważąco Bokatu, wodząc dokoła wzrokiem. - Czym one się tu żywią?

- Nie wiem.

- Może powinniśmy złapać jedną i dokonać sekcji. Wartość żołądka mogłaby wiele nam powiedzieć.

- Obiecałeś.

- To byłoby takie łatwe - nie ustępował. - Wystarczyłaby przynęta z owoców albo orzechów. Nagle pawian warknął i Bokatu z Enkatoi odwrócili się, by poznać przyczynę jego złości.

Nie dostrzegli niczego, lecz małpa niepokoiliła się coraz bardziej. W końcu pobiegła w górę zbocza.

- Ciekawe, o co w tym wszystkim chodziło? - zastanawiał się Bokatu.

- Uważam, że powinniśmy wracać.

- Mamy jeszcze pół dnia do przylotu statku.

- Nie czuję się tu dobrze. Identyczną ścieżką wędrowałam we śnie.

- Nie przywykłaś do słońca - rzekł. - Odpocznijmy w jaskini.

Niechętnie pozwoliła mu poprowadzić się do niewielkiej szczeliny w ścianie wąwozu. Nagle przystanęła, odmawiając pójścia dalej.

- Co się stało?

- Widziałam tę jaskinię we śnie - powiedziała. - Nie wchodzi tam.

- Musisz się nauczyć, że sny nie mogą rządzić twoim życiem - Bokatu powęszył chwilę. - Jakiś dziwny zapach.

- Wracajmy. Nie chcemy mieć nic wspólnego z tym miejscem.

Wsunął głowę do jaskini.

- Nowy świat, nowe wonie.

- Bokatu, proszę!

- Tylko sprawdzę, co tak śmierdzi - rzekł, świecąc w głąb grotu. Promień światła padł na wielki stos trupów, wielu częściowo pożartych, większość w różnych stadiach rozkładu.

- Co to? - spytał, podchodząc bliżej.

- Brązowe małpy - odparła nie patrząc. - Każda z rozwaloną kijem głową.

- To też było częścią twojego snu? - spytał, czując nagły lęk.

Skinęła głową.

- Musimy opuścić to miejsce - natychmiast!

Podszedł do wylotu jaskini.

- Wygląda bezpiecznie - stwierdził.

- W moim śnie nigdy nie jest bezpiecznie - w jej głosie dźwięczał niepokój. Wyszli z jaskini i po przejściu niecałych pięćdziesięciu metrów dotarli do miejsca, w którym wąwóz skręcał - i nagle ujrzeli przed sobą bezogoniastą małpę.

- Jedna z nich najwyraźniej została z tyłu - zauważył Bokatu. - Przegonię ją. - Podniósł kamień i cisnął nim w małpę, która uchyliła się, ale nie uciekła.

Enkatoi dotknęła go nagłym gestem.

- Więcej niż jedna - rzekła.

Uniósł wzrok. Dwie bezogoniaste małpy siedziały na drzewie, niemal dokładnie nad ich głowami. Kiedy się odsunął, zobaczył jeszcze cztery, zmierzające ku nim z krzaków. Kolejna wyłoniła się z jaskini, trzy następne zeskoczyły z pobliskich drzew.

- Co one trzymają w rękach? - spytał nerwowo.

- Ty nazwałbyś to kośćmi udowymi trawożerców - odparła Enkatoi, czując bolesny ucisk w klatce piersiowej. - Dla nich to broń.

Bezogoniaste małpy ustawiły się w półokręgu i powoli ruszyły ku nim.

- Ale one są takie słabe! - Bokatu cofał się, póki nie dotarł do skalnej ściany. Dalej nie mógł już uciec.

- Jesteś głupcem - oznajmiła Enkatoi, uwięziona w swym nagle urzeczywistnionym śnie. - To jest rasa, która zawładnie tą planetą. Spójrz im w oczy!

Bokatu posłuchał i ujrział straszne rzeczy, rzeczy, których nigdy wcześniej nie oglądał u żadnej istoty ani zwierzęcia. Ledwie starczyło mu czasu, by odmówić krótką modlitwę i prosić, aby jakaś katastrofa dotknęła tę rasę, zanim zdoła sięgnąć ku gwiazdom. Potem bezogoniasta małpa cisnęła gładkim, trój-

kątnym wypolerowanym kamieniem wprost w jego głowę. Uderzenie oszołomiło go, a kiedy padł na ziemię, na niego i leżącą obok Enkatai posypały się ciosy maczug.

Siedzący na górze pawian oglądał rzeź, póki nie dobiegła końca, a potem odbiegł w głąb rozległej sawanny, gdzie - przynajmniej na razie - mógł się czuć bezpieczny przed bezogoniastymi małpami.

*

- Broń - powiedziałem z zadumą. - To była broń!

Byłem sam. Podczas Czucia Bliźnięta Gwiazdny Pył uznały, że należę do tych nielicznych rzeczy, których nie potrafią oglądać obiektywnie, i wycofały się do swojej kwatery.

Odczekałem, aż towarzyszące odkryciu podniecenie osłabnie dostatecznie, bym mógł opanować moją strukturę cielesną. Wówczas przyjąłem postać, pod którą występowałem wśród moich towarzyszy, i doniosłem Bellidore'owi o tym, co odkryłem.

- A więc nawet wtedy byli już agresorami - rzekł. - Cóż, nic w tym dziwnego. Wola zdobycia gwiazd nie mogła wziąć się znikąd.

- Zdumiewające, że nie istnieje żaden zapis, świadczący o lądowaniu tu jakiejś rasy w prehistorycznych czasach tego świata - zauważył Historyk.

- To była ekipa badawcza, a Ziemia nie miała dla nich żadnej wartości - wyjaśniłem. - Bez wątpienia prowadzili rozpoznanie na licznych planetach. Jeśli gdziekolwiek istnieje jakiś zapis, to zapewne w ich archiwach, głoszący, że Ziemia nie nadaje się do kolonizacji.

- Ale czy nie zastanawiali się, co się stało z ich zwiadowcami? - spytał Bellidore.

- W okolicy żyło wiele dużych drapieżników - powiedziałem. - Prawdopodobnie uznali, iż zespół padł ich ofiarą. Zwłaszcza jeśli przeszukali okolicę i niczego nie znaleźli.

- Ciekawe - rzekł Bellidore - że to słabszy gatunek zdobył dominację.

- Myślę, że da się to łatwo wyjaśnić - odparł Historyk. - Jako mniejsze stworzenia nie dorównywali szybkością potencjalnej zdobyczy ani siłą - drapieżnikom, więc wynalezienie broni stanowiło jedyny sposób uniknięcia zagłady... albo przynajmniej najlepszy sposób.

- Niewątpliwie podczas tysięcy galaktycznej dominacji wykazali się przebiegłością właściwą drapieżnikom - przyznał Bellidore.

- Gatunek nie przestaje być agresywny tylko dlatego, że wynalazł broń - oświadczył Historyk.

- W istocie może to jeszcze zwiększyć jego agresję.

- Będę musiał to przemyśleć - Bellidore sprawiał wrażenie nie przekonanego.

- Być może zanadto uprościłem mój tok rozumowania, aby ułatwić dyskusję - odparł Historyk. - Zapewniam cię, że kiedy przedstawię moje odkrycia Akademii, zbuduję niepodważalną, logiczną argumentację.

- A Ty, Który Widzisz? - spytał Bellidore. - Czy masz jakieś uwagi do twojej opowieści?

- Trudno jest dostrzec w kamieniu przodka karabinów dźwiękowych i imploderów cząsteczkowych - powiedziałem z namysłem - ale uważam, że tak właśnie było.

- Niezmiernie interesująca rasa - podsumował Bellidore.

*

Trzeba było prawie czterech godzin, aby wróciły mi siły,

Czucie bowiem pochłania energię jak nic innego, czerpiąc zarówno z ciała, jak i z uczuć, umysłu i mocy empatycznych.

Moriteu, wykonawszy swoje zadanie, zwiślał głową w dół z gałęzi drzewa, pogrążone w swym wieczornym transie, a Bliźnięta Gwiezdny Pył nie pokazały się od czasu, gdy Czujęm kamień.

Pozostali członkowie zespołu zajmowali się własnymi sprawami, toteż uznałem, iż nadeszła idealna pora, by poddać Czuciu następny przedmiot, którego wiek Historyk ocenił na mniej więcej dwadzieścia trzy tysiące trzysta lat. Był to metalowy grot włóczni, wyszczerbiony i zardzewiały, i zanim go wchłonąłem, odniosłem wrażenie, że dostrzegam na nim słabe przebarwienie, jakby ślad krwi...

*

Nazywał się Mtepwa i zdawało mu się, iż od dnia swych narodzin nosi na szyi metalową obręcz. Wiedział, że to nie może być prawdą, bo czasem nawiedzały go ulotne wspomnienia zabaw z braćmi i siostrami, a także polowań na kudu i bongo na zboczach porośniętej drzewami góry, gdzie się wychowywał. Lecz im mocniej skupiał się na tych obrazach, tym mniej wyraźne i bardziej mgliste się stawały, i wiedział, że muszą pochodzić sprzed wielu lat. Czasami usiłował przypomnieć sobie nazwę swego szczepu, ale zaginęła bezpowrotnie w otchłani czasu, podobnie jak imiona jego rodziców i rodzeństwa.

W takich chwilach Mtepwa zaczynał użalać się nad sobą, potem jednak wspominał los towarzyszy i od razu czuł się lepiej, bo podczas gdy oni mieli zostać zapędzeni na statki i popłynąć na koniec świata, by resztę swych dni spędzić w niewoli Arabów i Europejczyków, on był ulubionym sługą swego pana, Sharifa

Abdullaha, dzięki czemu mógł się nie bać utraty swej pozycji.

To była jego ósma - a może dziewiąta? - karawana z Interioru. Dostarczali sól i naboje wodzom poszczególnych plemion, którzy w zamian sprzedawali im w niewolę najmniej produktywnych wojowników i kobiety. Potem wzbogacona karawana ruszała dalej, wokół wielkiego jeziora, i przecinała suchą, płaską sawannę. Następnie, okrążywszy górę tak starą, że jej szczyt zdążył już pobieleć, zupełnie jak włosy starca, docierali na wybrzeże do portu, pełnego arabskich żaglowców. Tam sprzedawali swój ludzki towar temu, kto zaoferował najwyższą cenę, Sharif Abdullah kupował kolejną żonę i oddawał połowę zarobku swemu staremu, słabemu ojcu, a potem znów wyruszali do Interioru w poszukiwaniu czarnego złota.

Abdullah był dobrym panem. Rzadko pił - a jeśli już, zawsze przy najbliższej okazji przepraszał Allaha - i niezbyt często bijał Mtepwę. Nigdy też nie brakowało im jedzenia, choćby nawet ładunek pozostawał głodny. Posunął się jeszcze dalej w swej dobroci, ucząc Mtepwę czytać, choć jedyną lekturą, jaka nosił przy sobie, był Koran.

Mtepwa poświęcił mu wiele godzin, szlifując swą nowo nabytą umiejętność, i w trakcie studiów dokonał niezmiernie interesującego odkrycia: Koran zabraniał wyznawcom Prawdziwej Wiary trzymania w niewoli swych współwyznawców. Właśnie wtedy Mtepwa podjął decyzję, by nawrócić się na islam. Zaczął niestrudzenie wypytywać Sharifa Abdullaha o szczegóły jego religii i pilnował, by stary człowiek widział go siedzącego godzinami przy ogniu, zatopionego w lekturze.

Sharif Abdullah tak bardzo zachwycił się tym obrotem spraw, że często po kolacji zapraszał Mtepwę do swego namiotu, do późnej nocy wykładając mu zawitości Koranu. Mtepwa miał niewątpliwą motywację do nauki i Abdullaha zadziwiał jego entuzjazm.

Noc po nocy, podczas gdy wokół obozu w Serengeti krążyły lwy, mistrz i uczeń razem studiowali Koran. Aż wreszcie nadszedł dzień, kiedy Sharif Abdullah nie mógł dłużej wątpić, że Mtepwa jest prawdziwym wyznawcą islamu. Stało się to, gdy obozowali nad Wąwozem Olduwai, i właśnie tego dnia Sharif Abdullah kazał kowalowi usunąć obręcz z szyi sługi, a Mtepwa sam zniszczył swe łańcuchy do ostatniego ogniwa, ciskając je z całych sił w głąb wąwozu.

Mtepwa był teraz wolnym człowiekiem, jednakże znał się tylko na dwóch rzeczach:

Koranie i handlu niewolnikami. Naturalnie zatem, kiedy nadszedł moment, by poszukać sobie źródła utrzymania, Mtepwa postanowił pójść w ślady Sharifa Abdullaha. Stał się jego młodszym współnikiem, a po dwóch wyprawach do Interioru uznał, że jest gotów samodzielnie poprowadzić interes.

W tym celu potrzebował wyszkolonych ludzi - wojowników, kowali, kucharzy, tropicieli. Perspektywa zgromadzenia całego oddziału od podstaw nie była zbyt zachęcająca, a że jego wiara nie dorównywała swą mocą wierze mentora, pewnej nocy na wybrzeżu Mtepwa zakradł się po prostu do namiotu Sharifa Abdullaha i poderżnął mu gardło. Następnego dnia pomaszewrował w głąb lądu na czele własnej karawany.

Wiele się nauczył o handlu niewolnikami, zarówno w swej praktyce pana, jak i ofiary, teraz zaś w pełni wykorzystał tę wiedzę. Świadom, iż zdrowi niewolnicy przynoszą większy zysk, karmił swych więźniów i traktował ich znacznie lepiej niż Sharif Abdullah i większość innych handlarzy. Z drugiej strony, wiedział doskonale, którzy ludzie oznaczają kłopoty i pojmował, że lepiej zabić ich od razu, jako przestrozę dla pozostałych, niż pozwolić, by wśród niewolników zapanowały buntownicze nastroje.

Ponieważ starał się jak mógł, odnosił sukcesy, i wkrótce zajął się także dostarczaniem kości słoniowej. Po sześciu latach

kierował już największym we Wschodniej Afryce przedsiębiorstwem niewolniczo-łusowniczym.

Od czasu do czasu natykał się na europejskich podróżników. Podobno spędził nawet tydzień w towarzystwie doktora Davida Livingstone'a, po czym odszedł, pozostawiając misjonarza nieświadomego, że gościł u siebie akurat tego handlarza niewolników, którego najbardziej pragnął schwytać.

Kiedy amerykańska Wojna Między Stanami zniszczyła podstawowy rynek zbytu, Mteywa porzucił na rok swe zajęcie, udając się do Azji i na Półwysep Arabski, aby zdobyć nowych klientów. Po powrocie odkrył, że syn Abdullaha, Sharif Ibn Jad Mahir, przejął wszystkich jego ludzi i wyruszył w głąb łądu, zamierzając kontynuować dzieło ojca. Mteywa, który tymczasem stał się bardzo bogaty, wynajął pięciuset askarich, na ich dowódcę wyznaczył otoczonego złą sławą łusownika Alfreda Henry'ego Pyma i spokojnie czekał na wyniki.

Trzy miesiące później Pym przyprowadził na wybrzeże Tanganiki czterystu trzydziestu ośmiu ludzi. Dwustu siedemdziesięciu sześciu z nich było niewolnikami, schwytanymi przez Sharifa Ibn Jad Mahira; pozostali - członkami organizacji Mtewy, który przeszedł na żołąd syna Abdullaha. Mteywa sprzedał wszystkich czterystu sześćdziesięciu ośmiu w niewolę i stworzył od podstaw nową organizację, złożoną z wojowników, którzy walczyli dla niego pod dowództwem Pyma.

Większość mocarstw kolonialnych skłonna była przymykać oko na jego praktyki, poza Brytyjczykami, którzy - zdecydowani doprowadzić do zniesienia niewolnictwa - wydali nakaz aresztowania Mtewy. Znudziwszy się w końcu ciągłym oglądaniem przez ramię, przeniósł swą kwaterę główną do Mozambiku, gdzie Portugalczycy powitali go z otwartymi ramionami

- oczywiście póki pamiętał o stałym smarowaniu dłoni lokalnych urzędników.

Nie był tam jednak szczęśliwy - nie znał portugalskiego ani żadnego z miejscowych języków

- toteż po dziewięciu latach powrócił do Tanganiki. Był już wówczas najbogatszym czarnym na całym kontynencie.

Pewnego dnia wśród najnowszej partii więźniów dostrzegł młodego Acholi imieniem Haradi, liczącego sobie najwyżej dziesięć lat, i postanowił zatrzymać go jako osobistego sługę, zamiast wysłać statkiem przez ocean. Mtepwa nigdy się nie ożenił. Większość współników zakładała, że po prostu nie miał na to czasu, jednakże gdy niemal conocne wizyty Haradiego w jego namiocie stały się publiczną tajemnicą, wkrótce zmienili zdanie. Mtepwa wydawał się zadurzony po uszy w swym młodym słudze, choć - bez wątpienia pomny własnych doświadczeń - nie nauczył Haradiego czytać i przyrzekł powolną, bolesną śmierć każdemu, kto choćby słowem wspomniałby chłopcu o islamie.

Tak minęły trzy lata, aż wreszcie pewnej nocy Mtepwa posłał po Haradiego. Chłopak zniknął. Mtepwa postawił na nogi wszystkich swoich wojowników i zażądał, by go szukali, jako że w pobliżu obozu widziano lamparta i handlarz lękał się najgorszego.

Jego ludzie znaleźli Haradiego w godzinę później - nie w paszczy lamparta, lecz w ramionach młodej niewolnicy z plemienia Zaneke. Mtepwa nie posiadał się z wściekłości i polecił wyrwać nieszczęśnicy ręce i nogi.

Haradi nie protestował ani słowem i nie próbował nawet bronić dziewczyny - zresztą nie sprawiłoby to żadnej różnicy - jednakże następnego ranka zniknął i, choć Mtepwa i jego żołnierze szukali go prawie miesiąc, nie znaleźli najmniejszego śladu.

Pod koniec miesiąca Mtepwa zupełnie oszalał z gniewu i rozpaczy. Uznawszy, że nie ma już po co żyć, zbliżył się do stada

lwów, ucztuj ącego na truchle topi, i wchodząc między zwierzęta, zaczął je przeklinać i uderzać gołymi rękami. Choć trudno w to uwierzyć, lwy cofnęły się przed nim, po czym warcząc i rycząc, zniknęły w gęstym buszu.

Następnego dnia Mtepwa wziął w rękę wielki kij i zaczął nim okładać słonia. To powinno spowodować brutalny atak matki, lecz słonica, stojąca zaledwie parę stóp dalej, zatrąbiła tylko, przerażona, i odbiegła, a małe podążyło jej śladem.

Wtedy Mtepwa uznał, że nie może umrzeć, że akt rozdarcia na sztuki biednej dziewczyny w jakiś sposób uczynił go nieśmiertelnym. Ponieważ zaś oba zdarzenia działały się na oczach jego przesądnych podwładnych, ci uwierzyli mu bez zastrzeżeń.

Teraz, kiedy był już nieśmiertelny, postanowił, iż nie musi już dłużej próbować zjednać sobie Europejczyków, którzy najechali jego kraj i wciąż wystawiali nowe nakazy aresztowania. Wyprawił posłańca na granicę kenijską, wzywając Brytyjczyków, by stawili mu czoło w bitwie. Kiedy nastął wyznaczony dzień, a Brytyjczycy się nie zjawili, oznajmił z pychą swoim wojownikom, że wieść o jego nieśmiertelności dotarła już do Europejczyków i że odtąd żaden biały nie ośmieli się stanąć przeciw niemu. Fakt, iż nadal znajdowali się na terytorium niemieckim i Brytyjczycy nie mają prawa tam wkroczyć, jakoś umknął jego uwadze.

Mtepwa wraz z orszakiem wojowników pomaszzerował w głąb lądu, otwarcie szukając niewolników, i w Kongu znalazł ich całkiem sporo. Rabował wsie, porywając mężczyzn, kobiety i kość słoniową, aż wreszcie, zdobywszy sześciuset niewolników i dwakroć mniej kłów słoniowych, zawrócił na wschód i rozpoczął miesięczny marsz na wybrzeże.

Tym razem Brytyjczycy czekali na niego na granicy Ugandy. Mieli ze sobą tak wielu zbrojnych, że Mtepwa skręcił na

południe - nie z lęku o własne życie, lecz dlatego, iż nie mógł sobie pozwolić na utratę kości słoniowej i niewolników; poza tym wiedział, że jego żołnierzom brak nieśmiertelności pana.

Skierował swą armię nad jezioro Tanganika i dalej, na wschód. Dotarcie do zachodniego szlaku z Serengeti zabrało mu dwa tygodnie, przebycie równiny - kolejnych dziesięć dni. Pewnego wieczoru kazał rozbić obóz u wylotu Wąwozu Olduwai, dokładnie w miejscu, gdzie kiedyś odzyskał wolność.

Wkrótce zapłonęły ogniska, gnu zostały zarżnięte i upieczone, a kiedy Mtepwa odprężył się po posiłku, usłyszał szepty swoich ludzi. I wówczas spomiędzy cieni wynurzyła się dziwnie znajoma postać. To był Haradi, liczący sobie piętnaście lat i wzrostem dorównujący samemu Mtepwie. Mtepwa przyglądał mu się długą chwilę i, zdawało się, że z jego twarzy stopniowo znika cały gniew.

- Bardzo się cieszę, że znów cię widzę, Haradi - rzekł.

- Słyszałem, że nie można cię zabić - oznajmił chłopiec, potrząsając włócznią. - Przybyłem, aby przekonać się, czy to prawda.

- Nie musimy walczyć - odparł Mtepwa. - Wejdz do mojego namiotu i wszystko będzie takie, jak dawniej.

- Gdy wyrwę ci ręce i nogi, wtedy nie będziemy już musieli walczyć - powiedział Haradi. - A nawet wówczas nie będziesz wydawał mi się bardziej odrażający niż w tej chwili i przez tamte wszystkie lata.

Mtepwa zerwał się z ziemi z wykrzywioną wściekłością twarzą.

- Uderzaj zatem, byle mocno! - krzyknął. - A gdy zrozumiesz, że nie zdołasz zrobić mi krzywdy, potraktuję cię tak jak tamtą dziewczynę Zaneke!

Haradi nie odpowiedział. Zamiast tego cisnął włócznią w handlarza niewolników. Zrobił to z taką siłą, że grot zagłębił się

w ciało i przeszył je na wylot; dobrych sześć cali włóczni sterczało z pleców Mtepy. Ten przez moment z niedowierzaniem wpatrywał się w Haradięgo, raz jeden jęknął i runął w głąb skalistego wąwozu.

Haradi powiódł wzrokiem po twarzach zebranych wojowników.

- Czy jest wśród was ktoś, kto odmówi mi prawa do zajęcia miejsca Mtepy? - spytał pewnym siebie tonem.

Potężny Makonde wystąpił, rzucając mu wyzwanie, i po trzydziestu sekundach Haradi także nie żył.

Kiedy dotarli do Zanzibaru, Brytyjczycy czekali już na nich. Niewolnicy zostali uwolnieni, kość słoniowa - skonfiskowana, wojownicy aresztowani i skazani na ciężkie roboty przy budowie kolei Mombasa-Uganda. Dwóch z nich zabiły później i pożarły lwy w okręgu Tsavo.

Do czasu, gdy podpułkownik J. H. Patterson zastrzelił otoczone złą sławą ludojady z Tsavo, kolej dotarła już niemal do miasta szafasów - Nairobi - a imię Mtepy zostało tak dokładnie zapomniane, że w jedynej książce historycznej, w której się pojawia, zapisano je z błędem.

*

- Zdumiewające! - powiedział Znacca. - Wiedziałem, że zniewolili wiele ras w całej galaktyce - ale żeby chwytać w niewolę siebie samych! To niemal nie do wiary!

Odpocząłem już po moim wysiłku i zrelacjonowałem im dzieje Mtepy.

- Żaden pomysł nie bierze się znikąd - oznajmił łagodnie Bellidore. - Ten akurat najwyraźniej zrodził się na Ziemi.

- Co za barbarzyństwo! - mruknął Znacca.

Bellidore odwrócił się do mnie.

- Człowiek nigdy nie próbował podbić twojej rasy, Ty, Który Widzisz. Dlaczego?

- Nie mieliśmy nic, czego by pragnął.

- Czy pamiętasz galaktykę z czasów dominacji Człowieka?

- spytał Znacwa.

- Pamiętam galaktykę z czasów, gdy jego przodkowie zabili Bokatu i Enkatoi - odparłem zgodnie z prawdą.

- Miałeś kiedykolwiek do czynienia z Człowiekiem?

- Nie. Na nic nie mogliśmy mu się przydać.

- Ale czy nie niszczył bezmyślnie wszystkiego, z czym się zetknął?

- Nie. Brał to, czego chciał, likwidował wszystko, co mogło mu zagrozić. Resztę ignorował.

- Jakież to aroganckie!

- Jakież to praktyczne - poprawił Bellidore.

- Masowe mordy na skalę galaktyczną nazywasz praktycznymi? - wybuchnął Znacwa.

- Z punktu widzenia Człowieka, owszem. Zdobywał to, czego pragnął, przy minimalnych nakładach sił i ryzyka. Pomyśl tylko! Jedna jedyna rasa, zrodzona zaledwie pięćset metrów od nas, władała kiedyś imperium złożonym z ponad miliona światów. Prawie wszystkie cywilizowane rasy galaktyki mówiły po terrańsku.

- Pod groźbą śmierci.

- Istotnie - przytaknął Bellidore. - Nie twierdzę, że Człowiek był aniołem. Lecz jeśli nawet był diabłem, to bardzo skutecznym.

Nadszedł czas, abym wchłonął trzeci przedmiot - według zgodnej opinii Historyka i Znacwy rękojeść noża - ale jeszcze odchodząc słyszałem rozważania moich towarzyszy.

- Zważywszy jego żądzę krwi i skuteczność postępowania - mówił Znacwa - dziwię się, że pożył dość długo, by sięgnąć

gwiazd.

- Rzeczywiście, to dość niezwykle - zgodził się Bellidore. - Historyk wspominał, że człowiek nie zawsze tworzył jedną wspólnotę, że u zarania jego historii istniało kilka grup wewnątrz jego gatunku. Różniły się kolorem, wierzeniami, zajmowanym terytorium. - Westchnął. - Musiał jednak nauczyć się żyć w pokoju ze swymi braćmi. To przynajmniej należy zapisać mu na plus.

Wciąż jeszcze słysząc w myślach słowa Bellidorego, dotarłem do przedmiotu zacząłem go pochłaniać...

*

Mary Leakey nacisnęła klakson landrovera. Wewnątrz muzeum jej mąż odwrócił się do młodego oficera w mundurze.

- Nie mam dla pana żadnych instrukcji - rzekł. - Muzeum nie jest jeszcze otwarte dla zwiedzających, a od ziem Kikuju dzieli nas dobrych trzysta kilometrów.

- Postępuj ę jedynie zgodnie z rozkazami, doktorze Leakey - odparł oficer.

- No cóż, przypuszczam, że dodatkowa przezorność nie zaszkodzi - ustąpił Leakey. - Jest wielu Kikuju, którzy pragną mojej śmierci, choć podczas procesu wystąpiłem w obronie Kenyatty. - Podeszedł do drzwi. - Jeśli znaleziska nad jeziorem Turkana okażą się interesujące, nasza nieobecność może potrwać nawet miesiąc. W przeciwnym razie powinniśmy się zjawić za jakieś dziesięć-dwanaście dni.

- To żaden problem, panie doktorze. Muzeum nadal będzie tu stało, kiedy wrócicie.

- Ani przez moment w to nie wątpiłem - mruknął Leakey, po czym wyszedł i dołączył do czekającej w samochodzie żony.

Porucznik Ian Chelmswood stał w drzwiach, patrząc, jak

Leakeyowie, eskortowani przez dwa pojazdy wojskowe, odjeżdżają czerwona drogą. Po sekundzie chmura pyłu przestłoniła samochód i Chelmswood cofnął się do budynku, zamykając za sobą drzwi dla ochrony przed kurzem. Panował nieznośny upał. Oficer zdjął kurtkę mundurową i pas z kaburą, i ułożył je porządnie na jednej z mniejszych gablotek.

To dziwne. Wszystkie obrazy afrykańskiej głuszy, jakie zdarzyło mu się oglądać, od starych zdjęć Niemca Schillingsa po filmy Amerykanina Johnsona, wpoły mu przekonanie, iż wschodnia Afryka jest cudowną krainą zielonych traw i czystej wody. Nikt nie wspominał o kurzu, a jednak to właśnie jego wspomnienie miało na zawsze pozostać w umyśle Chelmswooda.

No, nie tylko to jedno. Nigdy nie zapomni porannego alarmu, który odezwał się, kiedy jego oddział stacjonował jeszcze w Nanjuki. Przybywszy na farmę osadników, znaleźli całą rodzinę zmasakrowaną, ciała pokrojone na kawałki. Napastnicy nie oszczędzili też bydła -większości zwierząt obcięto genitalia, innym wylupiono oczy i oderwano uszy.

Lecz Chelmswood wiedział, że spośród tych wszystkich okropności jeden obraz zabierze ze sobą do grobu: nadzianego na nóż kociaka, przygwożdżonego do skrzynki na listy. Stanowił on znak rozpoznawczy Mau Mau, na wypadek, gdyby ktokolwiek pomyślał, że to jakiś szaleniec okaleczył w straszny sposób ludzi i zwierzęta.

Chelmswood nie rozumiał tego wszystkiego. Nie wiedział, kto zaczął ten obłąd, kto wywołał wojnę. Nie sprawiało mu to zresztą najmniejszej różnicy. Był tylko żołnierzem, słuchał rozkazów, a jeśli owe rozkazy zawiodą go z powrotem do Nanjuki, aby mógł zabić ludzi, którzy dopuścili się tych potwornych czynów, tym lepiej.

Tymczasem jednak przypadła mu w udziale służba, którą w duchu nazywał idiotyczną. W Arushy zanotowano niepokoje

wśród ludności - nie Mau Mau, lecz raczej pokaz solidarności z kenijskimi Kikuju - i jego oddział został tam przeniesiony.

Następnie rząd dowiedział się, że profesorowi Leakeyowi, którego odkrycia naukowe sprawiły, iż cała wschodnia Afryka poznała nazwę Wąwozu Olduwai, grożono śmiercią. Mimo sprzeciwów naukowca władze uparły się zapewnić mu ochronę. Większość ludzi z oddziału Chelmswooda udała się wraz z Leakeyem nad jezioro Turkana, ktoś jednak musiał zostać, aby pilnować gospodarstwa. Przypadek zrządził, że jego nazwisko otwierało listę dyżurów. Ot, takie już jego szczęście.

Tak naprawdę nie było to nawet muzeum. Zupełnie nie przypominało gmachów, do których zabierali go w Londynie rodzice. To były prawdziwe muzea; tutejsze mieściło się w małej, dwupokojowej glinianej chacie, w której zgromadzono około setki znalezisk Leakeya - starożytne groty strzał, kamienie dzwacznych kształtów, służące ludom pierwotnym za narzędzia. A także kości, wyraźnie nie należące do małpy, choć Chelmswood był pewien, że nie są one też szczątkami jakiegokolwiek istoty, z którą byłby spokrewniony.

Leakey zawiesił na ścianach własnoręcznie sporządzone wykresy, jasno ukazujące to, co sam uznał za ewolucję małych, groteskowych, przypominających małpy stworzeń, z których powstał gatunek Homo Sapiens. Mieli też zdjęcia, ukazujące część znalezisk odesłaną już do Nairobi. Wyglądało na to, że jeśli nawet ten wąwóz był w istocie miejscem narodzin ludzkiej rasy, to nikt nie chce go odwiedzać.

Wszystkie najlepsze okazy odsyłano najpierw do Nairobi, a potem do British Museum. Tak naprawdę, podsumował w myślach Chelmswood, chata nie była żadnym muzeum, a jedynie przechowalnią co lepszych znalezisk, póki nie zostaną wystlane gdzieś dalej.

Dziwnie jest myśleć, że tu, w wąwozie, rozpoczęło się

ludzkie życie. Jeśli w Afryce istniało brzydsze miejsce, to on do niego nie trafił. A choć Chelmswood nie akceptował Księgi Rodzaju i tym podobnych religijnych bzdur, nie podobała mu się myśl, że pierwsi ludzie na Ziemi mogli być czarni. Dorastając na wzgórzach Cotswolds raczej nie miał styczności z czarnymi, ale od czasu przybycia na brytyjski Wschód naoglądał się ich dosyć, by ich dzikość i barbarzyńskie zwyczaje wzbudziły w nim odrazę.

I czemu ci zwariowani Amerykanie stale załamują ręce, powtarzając, że kolonializm musi się skończyć? Gdyby tylko widzieli to, co on na farmie w Nanjuki, pojęliby, iż jedyną rzeczą, nie pozwalającą, by wschodnią Afrykę ogarnęło szaleństwo krwawych rzezi, była obecność brytyjska.

Niewątpliwie istniały pewne cechy wspólne, łączące Mau Mau i amerykańską rewoltę: oba kraje zostały skolonizowane przez Brytyjczyków i oba pragnęły niepodległości... tu jednak kończyło się wszelkie podobieństwo. Amerykanie napisali Deklarację, przedstawiającą dręczące ich problemy, a kiedy wyruszyli w pole, walczyli z brytyjskimi żołnierzami. Co ma wspólnego z walką mordowanie niewinnych dzieci i przygważdżanie kociąt do skrzynek na listy? Gdyby to od niego zależało, na czele półmilionowej armii brytyjskich żołnierzy pomaszerowałby w głąb kraju, wybijając wszystkich Kikuju - poza dobrymi, lojalnymi - i rozwiązałby tę kwestię raz na zawsze.

Podszedł do szafki, w której przechowywał piwo, i wyjął ciepłą butelkę. Piwo Safari. Otworzył ją i pociągnął długi łyk, po czym skrzywił się z niesmakiem. Jeśli właśnie takie rzeczy pija się na safari, będzie musiał pamiętać, by nigdy na nie nie pojechać.

A jednak wiedział, że któregoś dnia wyruszy na safari - jeśli się uda, zanim zakończy służbę i zostanie odesłany do domu. Niektóre części tego kraju były tak diablo piękne - mimo kurzu - a zresztą Chelmswoodowi podobała się idea siedzenia w cieniu

pod drzewem z zimną szklanką w dłoni, podczas gdy osobisty służący ochładzałby go wachlarzem ze strusich piór, a on sam konferowałby ze swym białym łowcą na temat wyników polowania i tego, na co powinni zapolować nazajutrz. To nie strzelanie jest najważniejsze, zapewnialiby się nawzajem - ale podnieta łowów. Potem kazałby paru czarnym chłopcom przygotować kąpiel, zażyłby jej i przyszykował się do kolacji. Zabawne, ale ostatnio nabrał zwyczaju nazywania ich chłopcami; większość z nich była znacznie starsza od niego.

Lecz choć nie byli chłopcami, wciąż pozostawali dziećmi, potrzebującymi nieustannych wskazówek i nauki. Weźmy na przykład Masajów: dumnych, aroganckich bydlaków. Na pocztówkach prezentują się może imponująco, ale spróbuj załatwić z nimi cokolwiek. Zachowywali się, jakby pozostawali w bezpośrednim kontakcie z Bogiem, jakby On przekazał im, że są Jego narodem wybranym. Im bardziej Chelmswood się nad tym zastanawiał, tym bardziej dziwił go fakt, iż to Kikuju, a nie Masajowie, rozpoczęli Mau Mau.

Nagle uświadomił sobie, że widział czterech czy pięciu masajskich elmorani, wałęsających się wokół muzeum. Trzeba będzie mieć na nich oko.

- Przepraszam? - powiedział wysoki głos i Chelmswood odwróciwszy się ujrzał na progu drobnego, wychudzonego czarnego chłopca, mającego najwyżej dziesięć lat.

- Czego chcesz? - spytał Chelmswood.

- Pan doktor Leakey, on obiecał cukierki - oznajmił chłopiec, wchodząc do budynku.

- Odejdź - rzucił niecierpliwie oficer. - Nie mamy żadnych cukierków.

- Tak, tak - mówił chłopiec, zbliżając się ku nim. - Co-dziennie.

- Co dzień daje ci cukierki?

Chłopak przytaknął i uśmiechnął się.

- Gdzie je trzyma?

Przybysz wzruszył ramionami.

- Może tam? - podsunął, wskazując szafkę.

Chelmswood podszedł do niej i otworzył. W środku nie było nic oprócz czterech słoików, zawierających stare zęby.

- Nic nie widzę - oznajmił oficer. - Będziesz musiał zaczekać na powrót doktora Leakeya.

Po policzku chłopca spłynęły dwie łzy.

- Ale pan doktor Leakey - on obiecać!

Chelmswood rozejrzał się wokół.

- Nie wiem, gdzie są.

Chłopak rozplakał się na dobre.

- Cicho bądź! - warknął Chelmswood. - Poszukam ich.

- Może w drugi pokój? - podsunął chłopak.

- Chodź ze mną - polecił Chelmswood, przechodząc przez drzwi sąsiedniego pomieszczenia. Wspierając dłonie na biodrach powiódł dokoła wzrokiem, próbując zgadnąć, gdzie Leakey ukrył cukierki.

- Może tu? - Chłopiec wskazał ręką szafę.

Chelmswood zajrzał do środka. Szafa kryła w sobie dwie łopaty, trzy kilofy i zestaw niewielkich pędzli, których, jak się domyślał, Leakeyowie używali do swych wykopalisk.

- Tu nic nie ma - oznajmił, zamykając drzwi.

Odwrócił się do chłopca, ale ten zniknął.

- Smarkacz kłamał od początku - mruknął Chelmswood. - Pewnie uciekł, żeby uniknąć lania. Wrócił do głównego pomieszczenia i ujrzał potężnie zbudowanego czarnego mężczyznę, trzymającego w prawej dłoni podobną do maczety pangę.

- O co chodzi? - spytał ostro Chelmswood.

- O wolność, poruczniku - odparł nieznajomy niemal doskonałą angielszczyzną. - Przysłano mnie, abym zabił doktora

Leakeya, ale pan będzie musiał wystarczyć.

- Czemu chcecie kogokolwiek zabijać? Cóż złego uczyniliśmy Masajom?

- Pozwolę, by Masajowie sami odpowiedzieli na to pytanie. Każdemu z nich wystarczyłby jeden rzut oka na mnie, by stwierdzić, że jestem Kikuju - ale dla was, Brytyjczyków, wszyscy wyglądamy tak samo, nieprawdaż?

Chelmswood sięgnął po pistolet i uświadomił sobie nagle, że zostawił go na gablotce.

- Dla mnie wszyscy wyglądacie jak stado tchórzliwych dzikusów!

- Czemu? Bo nie stajemy przeciw wam w bitwie? - Twarz czarnego mężczyzny wykrzywiła furia. - Odbieracie nam ziemię, zabraniać posiadac broń, ogłaszacie, że zbrodnią

jest nawet noszenie włóczni - a potem nazywacie nas dzikusami dlatego, że nie maszerujemy w równej formacji naprzeciw waszym karabinom! - Splunął z pogardą na podłogę.

- Walczymy z wami jedyną metodą, jaka nam pozostała.

- To wielki kraj; starczy w nim miejsca dla was i dla nas - rzekł Chelmswood.

- Gdybyśmy to my przybyli do Anglii, odebrali wam najżyźniejsze ziemie i zmusili do pracy dla nas, czy uważałbyś, że Anglia pomieści oba nasze ludy?

- Nie jestem politykiem - oznajmił Chelmswood, przysuwając się o kolejny krok bliżej broni. - Po prostu wykonuję swoją pracę.

- A twoja praca polega na tym, by utrzymać dwustu białych na ziemiach, które mogły kiedyś wykarmić milion Kikuju. - W głosie czarnego mężczyzny dźwięczała nienawiść.

- Kiedy już z wami skończymy, będzie was znacznie mniej niż milion! - syknął Chelmswood i rzucił się w stronę pistoletu.

Choć był szybki, czarny mężczyzna okazał się szybszy i

jednym ciosem pangi niemal odciął prawą dłoń Anglika. Chelmswood ryknął z bólu. Odwrócił się gwałtownie plecami do Kikuju, drugą ręką sięgając po broń.

Panga znów opadła, dosłownie rozpruwając jego ciało, lecz padając, Chelmswood zdołał zacisnąć palce wokół kolby pistoletu i pociągnąć za spust. Kula trafiła czarnego mężczyznę prosto w pierś i on także osunął się na ziemię.

- Zabijeś mnie! - jęknął Chelmswood. - Po co ktokolwiek miałby mnie zabijać?

- Wy macie tak wiele, a my - tak mało - wyszeptał czarny mężczyzna. - Czemu musicie odbierać nam także to, co do nas należy?

- Nigdy nic wam nie zrobiłem - westchnął Chelmswood.

- Przybyłeś tu. To wystarczy - odparł tamten. - Brytyjska świnia! - Zamknął oczy i znieruchomiał.

- Przeklęty czarnuch! - wykrztusił Chelmswood i umarł.

Stojący na zewnątrz czterej Masajowie nie zwracali najmniejszej uwagi na zamieszanie w środku. Pozwolili odejść kikujskiemu chłopcu, nie zaszczyciwszy go nawet spojrzeniem.

Sprawy niższych ras zupełnie ich nie obchodziły.

*

- Trudno doprawdy pojąć ich poczucie wyższości nad innymi członkami tej samej rasy - rzekł Bellidore. - Jesteś pewien, że właściwie odczytałeś ten przedmiot, Ty, Który Widzisz?

- Ja nie odczytuję przedmiotów, lecz je wchłaniam - odparłem. - Staję się z nimi jednością. Doświadczam wszystkiego, czego one doświadczyły - zawiesiłem głos. - Nie ma mowy o żadnej pomyłce.

- Cóż, niełatwo to pojąć, zwłaszcza u rasy, która miała w przyszłości zawładnąć niemal całą galaktyką. Czy uważali, że

wszyscy napotkani obcy są od nich gorsi?

- Z pewnością tak się właśnie zachowywali - potwierdził Historyk. - Zdawali się szanować jedynie te rasy, które stawiały im opór - ale nawet wtedy uznawali, iż zwycięstwo militarne stanowi dowód ich własnej wyższości.

- A przecież wiemy z pradawnych zapisów, że prymitywny Człowiek otaczał wciąż bezrozumne zwierzęta - wtrąciła Egzobiolog.

- Zapewne nie przetrwały one zbyt długo - zauważył Historyk. - Jeśli Człowiek żywił pogardę dla wszystkich ras galaktyki, o ileż gorzej musiał traktować te biedne stworzenia, z którymi przyszło mu dzielić planetę?

- Być może miał do nich taki sam stosunek, jak do mojej rasy - podsunąłem. - Jeśli nie posiadały nic, czego by pragnęły, jeśli nie stanowiły zagrożenia...

- Ale one posiadały coś, czego pragnął - przerwała mi Egzobiolog. - Był drapieżcą. One miały mięso.

- I ziemię - dodał Historyk. - Skoro nawet galaktyka okazała się za małą, by zaspokoić głód ziemi Człowieka, pomyślcie, jak niechętnie musiał dzielić z kimś swój własny świat.

- Obawiam się, że nigdy nie poznamy odpowiedzi na to pytanie - podsumował Bellidore.

- Chyba, że kryje się ona w jednym z pozostałych przedmiotów - zgodziła się Egzobiolog. Jestem pewien, że uwaga ta nie miała wyrwać mnie z letargu, ale przypomniałem sobie, że od chwili, gdy wchłonąłem rękojeść noża, minęło już pół dnia i odzyskałem dość sił, by zbadać kolejne znalezisko.

Było to metalowe pióro...

*

15 lutego 2103

Nareszcie dotarliśmy na miejsce! Podróż Superkretem przez tunel z Nowego Jorku do Londynu zabrała nam zaledwie cztery godziny. Mimo to jednak spóźniliśmy się o dwadzieścia minut, straciliśmy połączenie i musieliśmy czekać kolejnych pięć godzin na następny lot do Chartumu. Kolejne środki transportu stawały się coraz bardziej prymitywne - samoloty odrzutowe do Nairobi i Arushy, a potem szybki przerzut wahadłowcem do naszego obozu - w końcu jednak pozostawiliśmy za sobą cywilizację. Nigdy jeszcze nie widziałem podobnych otwartych przestrzeni! Ledwie widać wieżowce Nyerere, najbliższego miasta.

Po prelekcji orientacyjnej, informującej nas, czego możemy się spodziewać i jak się zachowywać podczas safari, resztę popołudnia poświęciliśmy na poznanie innych uczestników wyprawy. Jestem najmłodszym członkiem grupy: podobna wybieczka kosztuje tak wiele, że większość ludzi w moim wieku nie może sobie na nią pozwolić. Oczywiście, większość ludzi w moim wieku nie ma wujka Reubena, który umierając zostawia im w spadku tonę kasy. (No, po opłaceniu safari zostało z niej pewnie jakieś ćwierć kilo. Ha ha ha.)

Nasze kwatery są bardzo rustykalne. Wyposażono je nawet w staroświeckie mikrofalówki do podgrzewania jedzenia, choć większość z nas i tak woli żywić się w restauracjach. Podobno najpopularniejsze są japońska i brazylijska; pierwsza dla samego jedzenia - prawdziwe ryby! - a druga ze względu na program rozrywkowy. Mam współlokatora, pana Shiboni, starszego japońskiego dżentelmena, który twierdzi, że przez piętnaście lat oszczędzał, aby udać się na safari. Wydaje się miły i dobroniosny; mam nadzieję, że zdoła znieść trudy wyprawy.

Miałem wielką ochotę wziąć prysznic, tylko po to, by wczuć się w nastrój przygody, ale woda jest tu bardzo cenna i wygląda na to, że będę się musiał zadowolić zwykłym chemicznym natryskiem. Dobrze wiem, że nie tylko czyści, ale i de-

zynfekuje - gdybym jednak pragnął wszystkich domowych wygod, po prostu zostałbym w domu i zaoszczędził sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

16 lutego

Dziś poznaliśmy naszego przewodnika. Nie wiem dlaczego, ale nie pasuje jakoś do moich wyobrażeń o afrykańskim safari. Spodziewałem się steranego życiem weterana, który ma na podorędziu mnóstwo historyjek i może nawet widział na własne oczy cywetę albo duikera, zanim zupełnie wyginęły.

Ujrzeliśmy natomiast Kevina Ole Tambake, młodego Masaja, liczącego sobie najwyżej dwadzieścia pięć lat i ubranego w garnitur, podczas gdy my wszyscy mieliśmy na sobie drelichy. Mimo wszystko jednak mieszka tu od urodzenia, więc myślę, że zna całą okolicę.

Muszę też przyznać, że potrafi wspaniale opowiadać. Przez pół godziny słuchaliśmy legend o tym, jak jego lud mieszkał w chatkach zwanych manyatta i jak ich rytuał wejścia w wiek męski wymagał zabicia lwa włócznią. Jak gdyby rząd pozwolił komukolwiek zabić zwierzę!

Cały rano zjeżdżaliśmy w głąb krateru Ngorongoro. To zapadnięta w głąb ziemi caldera, czyli wulkan, który kiedyś przewyższał nawet Kilimandżaro. Kevin twierdzi, że niegdyś roiło się w nim od zwierzyny, choć nie bardzo to sobie wyobrażam, bo przecież każde zwierzę, które stałoby na nim w chwili, gdy się zapadł, zginęłoby natychmiast.

Podejrzewam, że tak naprawdę pojechaliśmy tam głównie po to, by wypróbować nasze pojazdy i nauczyć się właściwego zachowania. I bardzo dobrze - w dwóch przedziałach szwankowała klimatyzacja, autokelner miał kłopoty z utrzymaniem właściwej temperatury mrożonych drinków, a raz, kiedy wydało nam się, że widzimy ptaka, troje z nas jednocześnie

wywołało Kevina i zablokowało jego komunikator.

Po południu pojechaliśmy do Serengeti. Kevin mówi, że kiedyś rozciągało się ono aż do granicy Kenii, lecz teraz to jedynie przylegający do krateru park o powierzchni dwudziestu mil kwadratowych. Po jakiejś godzinie poszukiwań zobaczyliśmy wiewiórkę ziemną, ale zniknęła w norze, zanim zdążyłem ustawić holoparapat. Mimo wszystko jednak była naprawdę imponująca: futerko w różnych odcieniach brązu, ciemne oczy, puchaty ogon. Kevin ocenił jej wagę na niemal trzy funty i powiedział, że nie widział tak wielkiego okazu od czasów, kiedy był chłopcem.

Tuż przed powrotem do obozu Kevin dostał od innego kierowcy wiadomość przez radio: na drzewie, rosnącym osiem mil na północny wschód od nas, dostrzeżono dwa gniazdujące szpaki. Komputer pojazdu poinformował nas, że nie zdołamy dotrzeć tam przed zmrokiem, więc Kevin kazał mu zapisać w pamięci położenie drzewa i obiecał, że udamy się tam zaraz rano.

Zdecydowałem się na restaurację brazylijską i spędziłem parę miłych godzin, słuchając występującego na żywo zespołu.

Miły koniec pierwszego pełnego dnia safari.

17 lutego

O świcie wyjechaliśmy na poszukiwanie szpaków, lecz choć znaleźliśmy drzewo, na którym je dostrzeżono, ich samych nie zobaczyliśmy. Jeden z pasażerów - myślę, że to ten niski Birmańczyk, choć nie mam pewności - musiał się poskarżyć, bo Kevin wkrótce oznajmił całej grupie, że jesteśmy na safari, nikt nie gwarantuje, iż zobaczymy jakiegoś szczególnego ptaka albo zwierzę, i że choć będzie się starał poprowadzić nas, jak najlepiej potrafi, nigdy nie ma pewności, gdzie kryje się zwierzyna.

I wtedy, dokładnie w chwili, gdy to mówił, znikąd pojawił

się szczurnik indyjski. Zdawało się, że nie zwraca na nas najmniejszej uwagi i Kevin oznajmił, że wyłączamy silnik i przechodzimy na napęd poduszkowy, aby go nie spłoszyć. Po paru minutach wszyscy po prawej stronie pojazdu zrobili już swoje holografie i powoli obróciliśmy się wokół osi, aby lewa strona także mogła się przyjrzeć - ale nasz ruch musiał przestraszyć szczurnika, bo choć manewr trwał niecałe trzydzieści sekund; kiedy znowu zawiśliśmy nieruchomo, już go nie było.

Kevin oświadczył, iż pojazd uchwycił szczurnika na swych automatycznych holoaparatach i każdy, kto nie zdążył sam zrobić holo, może dostać kopię zapisu.

Kiedy zatrzymaliśmy się na lunch, czuliśmy się wspaniale - a przynajmniej prawa strona pojazdu - a podczas popołudniowej wycieczki zobaczyliśmy trzy żółte tkacze, budujące na drzewie swe kuliste gniazda. Kevin wypuścił nas, ostrzegając, abyśmy nie podchodzili bliżej niż na trzydzieści jardów, i spędziliśmy przeszło godzinę obserwując je i holografując.

W sumie bardzo zadowalający dzień.

18 lutego

Dziś opuściliśmy obóz godzinę po wschodzie słońca i przenieśliśmy się w nowe miejsce: do Wąwozu Olduwai. Kevin oznajmił, że tam właśnie spędzimy ostatnie dwa dni safari, bo stały rozwój miast i farm na równinach sprawił, iż większe zwierzęta schroniły się w głębi wąwozu i na jego zboczach.

Żaden pojazd, nawet nasz, specjalnie wyposażony do takich wypraw, nie zdołałby poruszać się w wąwozie, toteż wszyscy wysiedliśmy i ruszyliśmy gęsiego za Kevinem. Większość z nas z trudem dotrzymywała mu kroku. Śmigał tam i z powrotem po kamieniach, jakby robił to całe życie, podczas gdy ja nie pamiętam nawet, kiedy po raz ostatni widziałem schody, które nie

poruszyły się, kiedy na nich stanąłem. Po pół godzinie takiej wędrówki usłyszałem, jak jeden z mężczyzn na tyłach rozciągniętego szeregu krzyknął i wskazał ręką jakieś miejsce na dnie wąwozu. Spojrzeliśmy tam wszyscy i ujrzeliśmy coś uciekającego z niesamowitą prędkością.

- Kolejna wiewiórka? - spytałem.

Kevin tylko uśmiechnął się w odpowiedzi.

Mężczyzna za mną powiedział, że według niego był to szczurnik.

- To, co widzieliście - rzekł Kevin - to dik-dik, ostatnia żyjąca afrykańska antylopa.

- Jakiej była wielkości? - spytała jedna z kobiet.

- Przeciętnej. Około dwudziestu pięciu centymetrów w kłębie.

Trudno to sobie wyobrazić: dwadzieścia pięć centymetrów, a on mówi, że to przeciętna wielkość!

Kevin wyjaśnił, że dik-diki są bardzo przywiązane do swoich terytoriów i że nasz nie oddali się zbyt od domu. Co oznacza, że jeśli zaczekamy cierpliwie, nie czyniąc hałasu - i jeśli dopisze nam szczęście - znów go zobaczymy. Spytałem Kevina, ile antylop dik-dik mieszka w wąwozie, a on podrapał się po głowie, zastanowił przez moment i odparł, że najprawdopodobniej około dziesięciu sztuk. (A w Yellowstone zostało tylko dziewiętnaście królików! Nic dziwnego, że wszyscy poważni miłośnicy zwierząt przyjeżdżają do Afryki.)

Maszerowaliśmy kolejną godzinę, a potem zrobiliśmy przerwę na lunch, podczas którego Kevin opowiedział nam dzieje tego miejsca i historię odkryć doktora Leakeya. Mówił, że zapewne można tam jeszcze wykopać inne szkielety, ale rząd nie chce wypłoszyć zwierząt z ich ostatniego schronienia, toteż kości będą musiały poczekać na przyszłe pokolenia. W tłumaczeniu na

zwykły język oznaczało to mniej więcej, że Tanzania nie zamierza rezygnować z opłat trzystu turystów tygodniowo i nie odda największego klejnotu w kolekcji swych parków bandzie antropologów. Nie mogę powiedzieć, że bym miał o to do nich pretensje.

Pozostałe grupy też zaczęły napływać do wąwozu i według moich obliczeń pod koniec lunchu kręciło się tam już z siedemdziesięciu uczestników safari. Przewodnicy jednak najwyraźniej mieli wyznaczone "swoje" terytoria i rzadko zbliżaliśmy się na mniej niż ćwierć mili do innej grupy.

Kevin spytał, czy chcemy posiedzieć w cieniu do czasu, aż minie najgorszy upał, ale ponieważ był to nasz przedostatni dzień safari, przeważającą większość głosów zdecydowaliśmy ruszać, gdy tylko skończymy posiłek.

Katastrofa wydarzyła się najwyżej dziesięć minut później. Pojedynczo schodziliśmy stromym zboczem, Kevin jak zwykle na przedzie, a ja tuż za nim, kiedy usłyszałem stęknięcie i krzyk zdumienia. Obejrzawszy się zobaczyłem pana Shiboniego, turlejącego się w dół. Najwyraźniej stracił równowagę. Gdy tak leciał ku nam, usłyszeliśmy trzask pękającej kości jego nogi.

Kevin ustawił się tak, by go zatrzymać, i o mało sam nie runął do wąwozu, zanim zdołał złapać biednego pana Shiboniego. Potem ukląkł obok starszego pana, aby zająć się jego nogą - jednakże kiedy to robił, jego bystre oczy dostrzegły coś, co umknęło naszej uwadze, i nagle zręcznie niczym małpa popędził w górę zbocza. Przystanął w miejscu, w którym potknął się pan Shiboni, kucnął i przyjrzał się czemuś. Następnie, wyglądając jak sama Śmierć, podniósł swoje znalezisko i wrócił do nas.

To była martwa jaszczurka, w pełni dorosła, długa na niemal dwadzieścia centymetrów i zgnieciona przez pana Shiboniego. Nie dało się stwierdzić, czy upadł, nastąpiwszy na nią,

czy też po prostu nie zdążyła uciec, kiedy runął w dół... ale nie czyniło to żadnej różnicy: był odpowiedzialny za śmierć zwierzęcia w Parku Narodowym.

Próbowałem sobie przypomnieć szczegóły podpisanego przez nas zobowiązania, udzielającego Zespołowi Parków zezwolenia na natychmiastowe pobranie z naszego konta pieniędzy w razie, gdybyśmy z jakichkolwiek powodów, nawet w samoobronie, zabili jakieś zwierzę. Wiedziałem, że minimalna grzywna wynosi pięćdziesiąt tysięcy dolarów, ale zdaje się, że dotyczyła tylko dwóch najpospolitszych gatunków ptaków, a ugaama i gekon kosztowały bliżej siedemdziesięciu tysięcy.

Kevin uniósł jaszczurkę tak, żebyśmy wszyscy dobrze ją widzieli, i oświadczył, iż gdyby doszło do procesu, wszyscy będziemy świadkami tego, co zaszło. Pan Shiboni jęknął z bólu. Kevin stwierdził, że nie ma sensu marnować jaszczurki, toteż oddał mi ją do potrzymania, a sam zajął się zakładaniem łubków na nogę pana Shiboniego i wzywaniem przez radio sanitariuszy.

Zacząłem oglądać małą jaszczurkę. Jej stopy były delikatne i wdzięcznie ukształtowane, ogon długi i elegancki, ale największe wrażenie wywarły na mnie kolory: czerwonawa głowa, niebieskie ciało i szare nogi, coraz jaśniejsze, aż po pazurki. Piękna, przepiękna istota, nawet martwa.

Kiedy sanitariusze zabrali pana Shiboniego z powrotem do głównej siedziby, Kevin przez następną godzinę demonstrował nam, jak funkcjonowało ciało ugaamy: jak jej oczy spoglądały w dwóch kierunkach naraz, pazurki pozwalały zwiśać do góry nogami z każdej nierównej powierzchni, a szczęki sprawnie kruszyły pancerzyki schwytyanych owadów. Wreszcie, w obliczu tragedii, a także dlatego, że pragnął dowiedzieć się o stan pana Shiboniego, zaproponował, abyśmy wracali do obozu.

Nikt z nas nie protestował - wiedzieliśmy, że Kevina czeka

kilka godzin dodatkowej pracy: pisanie raportów o wypadku i przekonywania Zarządu Parków, że jego firma safari nie ponosi winy za to zdarzenie - mimo to jednak czuliśmy się oszukani, bo został nam tylko jeden dzień. Kevin chyba zorientował się w naszych nastrojach, gdyż tuż przed lądowaniem w obozie obiecał nam na jutro coś ekstra. Pół nocy nie mogłem spać, zastanawiając się, co to może być. Czyżby wiedział, gdzie ukrywają się inne dik-diki? A może legendy o ostatnim flamingu są jednak prawdziwe?

19 lutego

Tego ranka wsiadając do pojazdu byliśmy okropnie podekscytowani. Wszyscy pytaliśmy Kevina, jak wygląda jego niespodzianka, on jednak uśmiechał się tylko i wciąż zmieniał temat. W końcu dotarliśmy do Wąwozu Olduwai i znów ruszyliśmy na piechotę, tyle że tym razem zdążaliśmy wyraźnie do określonego celu, a Kevin prawie nie zatrzymywał się, żeby poszukać dik-dików.

Wędrowaliśmy stromymi, krętymi ścieżkami, potykając się o korzenie drzew, kalecząc ręce i nogi o cierniste krzaki, ale nikt nie protestował, bo Kevin sprawiał wrażenie tak bardzo pewnego swej niespodzianki, że natychmiast zapominaliśmy o wszelkich przeszkodach.

Wreszcie osiągnęliśmy dno wąwozu i pomaszerowaliśmy płaską, wijącą się ścieżką. Mimo to jednak, kiedy zatrzymaliśmy się na lunch, wciąż jeszcze nic nie widzieliśmy. Gdy usiedliśmy w cieniu akacji, Kevin wyjął radio i połączył się z pozostałymi przewodnikami. Jedna grupa natknęła się na trzy dik-diki, inna znalazła gniazdo kraski różanopiórej z dwoma pisklakami. Kevin jest bardzo ambitny i zazwyczaj podobne wieści sprawiłyby, że zaczęłyby nas popędzać, żebyśmy szybciej skończyli jeść i przed powrotem do obozu zdążyli obejrzeć co najmniej tyle samo, ale

tym razem uśmiechnął się tylko i powiedział przewodnikom, że na dnie wąwozu nie dostrzegliśmy niczego: najwyraźniej zwierzęta wywędrowały w górę, zapewne w poszukiwaniu wody.

Potem, kiedy skończyliśmy posiłek, Kevin odszedł o jakieś pięćdziesiąt jardów, zniknął w jaskini i wynurzył się z niej chwilę później, niosąc w dłoni małą drewnianą klatkę. W środku siedział brązowy ptaszek i choć zachwyciła mnie perspektywa obejrzenia go z bliska, poczułem zawód na myśl, że tak ma wyglądać ta ekstra niespodzianka.

- Widzieliście kiedyś miodowoda? - spytał Kevin.

Przyznaliśmy, że nie, a on wyjaśnił, że tak właśnie brzmi nazwa małego brązowego ptaka. Spytałem, czemu go tak nazwano, skoro niewątpliwie nie produkuje miodu i nie wygląda na to, aby mógł zastąpić Kevina w roli naszego przewodnika. Kevin znów się uśmiechnął.

- Widzicie to drzewo? - to mówiąc wskazał drzewo, rosnące w odległości najwyżej siedemdziesięciu pięciu metrów. Z niskiej gałęzi zwisało wielkie pszczele gniazdo.

- Tak - odparłem.

- Zatem obserwujcie - polecił, otwierając klatkę i wypuszczając ptaka. Miodowód przez moment stał nieruchomo, po czym zatrzepotał skrzydłami i pofrunął w stronę drzewa.

- Upewnia się, że jest tam miód - wyjaśnił Kevin, wskazując okrążającego pszczele gniazdo ptaka.

- Dokąd leci teraz? - spytałem, ptak bowiem śmignął nagle wzdłuż koryta rzeki.

- Poszukać swojego współnika.

- Wspólnika? - powtórzyłem, nic nie pojmując.

- Czekajcie, a zobaczycie - rzekł Kevin, siadając na ziemi z plecami wspartymi o duży kamień.

Poszliśmy w jego ślady, kryjąc się w cieniu, z lornetkami i

holoaparatami wycelowanymi w drzewo. Po godzinie, kiedy wciąż nic się nie działo, część grupy zaczęła się niepokoić, wówczas jednak Kevin z napięciem wskazał łożysko rzeki.

- Tam! - szepnął. Spojrzałem w stronę, którą pokazywał - a tam, podążając za ptakiem, lecącym tuż nad ziemią i ćwierkającym gorączkowo, pojawiło się ogromne, czarno-białe zwierzę, największe, jakie kiedykolwiek widziałem.

- Co to jest? - wyszeptałem.

- Miodożer - odparł cicho Kevin. - Jeszcze dwadzieścia lat temu uważano je za wymarłe, ale jedna para schroniła się w Olduwai. To już czwarte urodzone tu pokolenie.

- Czy on zje ptaka? - spytał ktoś z grupy.

- Nie - szepnął Kevin. - Ptak doprowadzi go do miodu, a kiedy miodożer ściągnie gniazdo i naje się do syta, zostawi trochę dla ptaka.

Stało się dokładnie tak, jak zapowiadał. Miodożer wspiął się po pniu drzewa, przednią łapą strącił gniazdo, następnie zszedł na ziemię i rozdarł je pazurami, nie zważając na żądła pszczół. Całą tę fantastyczną scenę utrwaliliśmy na naszych holo - a gdy już skończył, rzeczywiście zostawił trochę miodu dla ptaka.

Później, kiedy Kevin chwycił miodowoda i na powrót zamykał go w klatce, reszta grupy omawiała to, czego świadkami się staliśmy. Na moje oko miodożer ważył około czterdziestu pięciu funtów, choć mniej skłonni do uniesień uczestnicy wyprawy szacowali jego wagę na jakieś trzydzieści sześć do trzydziestu siedmiu funtów. W każdym razie był naprawdę ogromny. Potem rozmowa skupiła się na wysokości napiwku, jaki zostawimy Kevinowi, bo z pewnością na niego zasłużył.

Kiedy opisuję ostatni dzień w moim dzienniku safari, wciąż jeszcze drżę z podniecenia, towarzyszącego jedynie spotkaniom z

wielkimi zwierzętami w ich naturalnym środowisku. Jeszcze wczoraj miałem wątpliwości co do safari - wydawało mi się zbyt drogie albo może przybyłem na nie ze zbyt wygórowanymi oczekiwaniami - ale teraz wiem, że warte było każdego centa. Czuj ę się, jakbym pozostawiał tu cząstkę siebie i nigdy nie spoczną, póki nie

powrócę do tej ostatniej twierdzy dzikiej przyrody.

*

W całym obozie wrzało. Byliśmy zupełnie pewni, że w okolicy nie pozostały już żadne skarby, czekające na odkrycie - i właśnie wtedy Bliźnięta Gwiazdny Pył znalazły trzy małe kawałki kości, związane drutem: przedmiot niewątpliwie ludzkiego pochodzenia.

- Ale datowanie się nie zgadza - zauważył Historyk po dokładnym zbadaniu kości swoim sprzętem. - To prymitywny naszyjnik - można go nazwać ozdobą dzikusów - a jednak kości i drut pochodzą z czasów, gdy człowiek wynalazł już podróże kosmiczne.

- Czy... - ...powątpiewasz, że... - ...znaleźliśmy to... - ...w wąwozie? - spytały ostro Bliźnięta.

- Wierzę wam - odparł Historyk. - Twierdzę tylko, że ta ozdoba wygląda na anachronizm.

- To nasze znalezisko i... - ...zostanie nazwane naszym imieniem.

- Nikt nie odmawia wam praw odkrywców - wtrącił uspokajającym tonem Bellidore. - Po prostu przedstawiliście nam kolejną tajemnicę.

- Dajcie go.... - ...Temu, Który Widzi, a... - ...rozwiąże zagadkę.

- Uczynię, co w mojej mocy - rzekłem - ale dopiero nie-

dawno wchłonałem pióro. Muszę najpierw odpocząć i odzyskać siły.

- To... - ...do przyjęcia.

Pozwoliliśmy Moriteu dalej czyścić znalezisko, podczas gdy my zastanawialiśmy się, skąd w epoce lotów międzygwiazdnych wziął się tak prymitywny fetysz. Wreszcie Egzobiolog wstała z miejsca.

- Wracam do wąwozu - oznajmiła. - Skoro Bliźnięta Gwiazdny Pył znalazły ten naszyjnik, może są tam jeszcze inne rzeczy, które przeoczyliśmy. Ostatecznie to ogromny teren. -Zatrzymała się i spojrzała na nas. - Czy ktoś chciałby pójść ze mną?

Wszyscy milczeli, bo dzień chylił się już ku zachodowi.

Po chwili Egzobiolog odwróciła się i ruszyła ścieżką, prowadzącą w głąb Wąwozu Olduwai. Było ciemno, gdy w końcu nabrałem dość sił, by móc wchłonać naszyjnik. Rozlałem moje ja wokół kości i drutu i wkrótce stałem się z nimi jednością...

*

Nazywał się Joseph Meromo i mógł żyć z pieniędzmi, ale nie z poczuciem winy.

Wszystko zaczęło się od wiadomości z Brukseli i zawołanej sugestii szefa mieszczącej się tam międzynarodowej korporacji. Mieli pewną rzecz, której pragnęli się pozbyć. Czy Tanzania nie mogłaby im w tym pomóc?

Meromo odparł, że popyta tu i ówdzie, wątpił jednak, by ich rząd do czegoś się przydał. Odpowiedź była krótka: proszę spróbować.

W istocie składało się na nią coś więcej niż tylko słowa.

Następnego dnia osobisty kurier dostarczył mu gruby plik banknotów o wysokich nominatach z uprzejmą notką, dzięku-

jąca Meromo za poczynione wysiłki. Meromo potrafił rozpoznać łapówkę - wziął ich dość w swej karierze - ale nigdy jeszcze nie widział tak wielkiej. A nie chodziło nawet o konkretną pomoc, ale o zgodę na zorientowanie się w sytuacji.

Cóż, pomyślał, czemu by nie? Co takiego mogą mieć? Parę pojemników odpadów toksycznych? Kilka prętów plutonowych? Wystarczy zakopać je głęboko w ziemi i nikt się nigdy nie dowie, nikogo to nie obejdzie. Czyż nie tak właśnie postępowały kraje Zachodu?

Oczywiście był jeszcze Katakлизм z Denver i ten mały wypadek, po którym wody Tamizy na ponad wiek stały się niezdatne do picia, ale przychodziły one na myśl jedynie dlatego, że stanowiły wyjątki, nie zasadę. Na całym świecie istniały tysiące składowisk, a dziewięćdziesiąt dziewięć procent z nich nie przysparzało nikomu żadnych kłopotów.

Meromo polecił komputerowi wyświetlić nad biurkiem holograficzną mapę Tanzanii.

Spojrzał na nią, zmarszczył brwi, dodał kilka cech topograficznych i zaczął uważnie studiować fragment po fragmencie.

Gdyby zdecydował się pomóc im ukryć gdzieś te rzeczy, czymkolwiek były - a, jak powtarzał sobie w duchu, nadal jeszcze mógł się wycofać - gdzie byłoby najlepsze miejsce na tego typu towar?

W morzu? Nie, rybacy wyciągnęliby ładunek w dwie minuty później, wezwali prasę i wywołali takie piekło, że straciłby posadę. Możliwe, że cały rząd musiałby podać się do dymisji. Partia naprawdę nie zniósłaby w tym roku jeszcze jednego skandalu.

Prowincja Selous? Pięć stuleci wcześniej, kiedy stanowiła ostatnią ostoję dzikiej przyrody na kontynencie, może, ale nie teraz. W miejscu, gdzie dawniej nie było niczego poza stadami słoni i niemal nieprzebytym gąszczem ciernistych krzaków,

wznosiło się kwitnące, na wpół autonomiczne miasto-państwo o pięćdziesięciu dwóch milionach mieszkańców.

Jezioro Wiktorii? Nie. Ten sam problem z rybakami. Dar es Salaam? Może. Dostatecznie blisko brzegu, by transport nie sprawiał kłopotu, i praktycznie opustoszałe, odkąd Dodoma stała się nową stolicą kraju. Ale dwadzieścia lat temu, kiedy Meromo był jeszcze małym chłopcem, Dar es Salaam nawiedziło trzęsienie ziemi. Nie mógł ryzykować, że kolejny wstrząs odłoni albo uszkodzi to, co zamierzał ukryć.

Nadal oglądał mapę: Gombe, Ruaha, Iringa, Mbeja, Mtawara, Tarengire, Olduwai...

Zamarł, wpatrując się w Olduwai, i po chwili wywołał wszelkie dostępne dane. Głęboki prawie na milę. To spora zaleta. Żadnych zwierząt. Coraz lepiej. Żadnych osad na jego stromych zboczach. W okolicy mieszkała tylko garstka Masajów, nie więcej niż dwa tuziny rodzin, zbyt aroganckich, by zwracać uwagę na to, co robi rząd. Tego akurat Meromo był pewien: on także był Masajem.

Przeciągał zatem sprawę tak długo, jak się dało, przez niemal dwa lata odbierając prezenty w gotówce, aż wreszcie wyznaczył datę dostawy.

Meromo wyrzął przez okno swego gabinetu na trzydziestym czwartym piętrze. Patrzył na wschód, ponad ruchliwym miastem Dodomą, tam, gdzie - jak sądził - leży Wąwóz Olduwai. Wszystko wydawało się takie proste. Owszem, zapłacili mu naprawdę mnóstwo, znacznie więcej niż zwykle, ale te międzynarodowe korporacje zawsze wyrzucały pieniądze w błoto. Chodziło tylko o kilkadziesiąt prętów plutonowych; tak przynajmniej myślał. Skąd miał wiedzieć, że mówili o czterdziestu dwóch tonach odpadów radioaktywnych?

Nie mógł zwrócić pieniędzy. Nawet gdyby chciał, trudno oczekiwać, by wrócili i wyciągnęli z ziemi swoje śmiercionośne

materiały. Najpewniej były bezpieczne, nikt się nigdy nie dowie...

Ale poczucie winy zaczęło nękać go całymi dniami i, co gorsza, nocami, podsuwając mu we śnie najróżniejsze wizje. Czasami były to starannie zapieczętowane pojemniki, czasami tykające bomby, czasem katastrofa już się wydarzyła i widział jedynie zwęglone ciała masajskich dzieci, leżące u wylotu wąwozu.

Prawie osiem miesięcy sam zmagał się z diabłami, w końcu jednak zrozumiał, że musi poszukać pomocy. Sny nie tylko dręczyły go nocami, ale pojawiały się także na jawie.

Siedział na zebraniu personelu i nagle wyobrażał sobie, że otaczają go wychudzeni, pokryci ropiejącymi ranami Masajowie z Olduwai. Czytał książkę, gdy wtem słowa zmieniały się w tekst, głoszący, iż Joseph Meromo został skazany na śmierć za swą chciwość. Oglądał holo tragedii "Titanica" i nagle widział kolejny wariant Kataklizmu z Olduwai.

Wreszcie udał się do psychiatry, a ponieważ był Masajem, wybrał psychiatrę-Masaja. Obawiając się pogardy lekarza, Meromo nie wyjaśnił wprost, co powoduje koszmary i wizje, i po pół roku próżnych trudów i daremnych prób uleczenia choroby psychiatra oznajmił, że nic więcej nie może zrobić.

- Zatem już na zawsze jestem skazany na te sny? - spytał Meromo.

- Może nie - odparł psychiatra. - Ja nie potrafię panu pomóc, ale możliwe, że istnieje ktoś, kto to umie. Pogrzebał w biurku i wyjął małą białą wizytówkę. Widniało na niej tylko jedno słowo: MULEWO.

- To jego karta wizytowa - oznajmił lekarz. - Proszę ją wziąć.

- Nie ma na niej adresu, nic - stwierdził Meromo. - Jak mam się z nim skontaktować?

- On się z panem skontaktuje.

- Poda mu pan moje nazwisko?

Psychiatra potrząsnął głową.

- Nie muszę. Proszę po prostu trzymać tę kartę przy sobie.

Będzie wiedział, że potrzebuje pan jego usług.

Meromo miał wrażenie, że stał się ofiarą żartu, którego sam nie rozumie. Posłusznie wsunął wizytówkę do kieszeni i szybko o niej zapomniał

Dwa tygodnie później, kiedy pił drinka w barze, jak najdłużej odwołując powrót do domu i snów, podeszła do niego drobna kobieta.

- Czy pan jest Josephem Meromo? - spytała.

- Tak.

- Proszę za mną.

- Po co? - zapytał podejrzliwie.

- Ma pan sprawę do Mulewo, prawda?

Meromo ruszył za nią. Kierowała nim nie tylko nadzieja, że ów tajemniczy człowiek bez imienia zdoła mu pomóc, ale też niechęć do powrotu do domu. Wyszli na ulicę, skręcili w lewo, w milczeniu pokonali trzy przecznice i znów skręcili, tym razem w prawo, zatrzymując się przed drzwiami wieżowca ze szkła i stali.

- Sześćdziesiąte trzecie piętro - powiedziała. - Oczekuje pana.

- Nie idzie pani ze mną?

Pokręciła przecząco głową.

- Zrobiłam już swoje. - Odwróciła się i odeszła w noc.

Meromo zadzierając głowę przyjrzał się budynkowi. Wyglądał na mieszkalny. Zastanowił się chwilę, wzruszył ramionami i wszedł do westybulu.

- Pan do Mulewo - powiedział portier. To nie było pytanie.

- Winda po lewej.

Meromo posłuchał. W wyłożonej nawoskowanymi drewnianymi płytami windzie panował miły, świeży zapach. Wypo-

sażono ją w czujnik komend głosowych i szybko zawiozła go na sześćdziesiąte trzecie piętro. Po wyjściu z windy znalazł się na elegancko urządzonym korytarzu. Nad hebanową boazerią dyskretnie rozmieszczono lustra. Minął trzy mieszkania bez wizytówek, zastanawiając się, jak ma poznać, które z nich należy do Mulewo, aż w końcu dostrzegł lekko uchylone drzwi.

- Wejdz, Josephie Meromo - poleciał dobiegający ze środka ochrypły głos.

Meromo szerzej otworzył drzwi, wszedł do mieszkania i zamarł.

Na podartym dywaniku siedział stary mężczyzna, odziany jedynie w sztukę czerwonego materiału, zebraną na ramieniu. Ściany pokryto matami z trzciny, nad kominkiem bulgotał kociołek, z którego unosiła się ostra, nieprzyjemna woń. Jedyne oświetlenia dostarczało dymiące łuczywo.

- Co to ma być? - spytał Meromo, gotów uciec na korytarz, gdyby starzec okazał się równie dziwny, jak jego otoczenie.

- Chodź, usiądź naprzeciw mnie, Josephie Meromo - powiedział starzec. - Z pewnością jest to mniej straszne niż twoje koszmary.

- Co wiesz o moich koszmarach? - zapytał ostro Meromo.

- Wiem, że je masz. Wiem też, co leży zagrzebane na dnie Wąwozu Olduwai.

Meromo szybko zamknął drzwi.

- Kto ci powiedział?

- Nikt. Zajrzałem w twoje sny i przesiałem je, póki nie odnalazłem prawdy. Chodź, siadaj. Meromo podszedł do miejsca, które wskazał mu stary człowiek, i ostrożnie usiadł, starając się jak najmniej zabrudzić świeżo wyprasowane ubranie.

- Ty jesteś Mulewo? - spytał.

Starzec przytaknął.

- Ja jestem Mulewo.

- Skąd tyle o mnie wiesz?
 - Jestem laibonem - oznajmił Mulewo.
 - Szamanem?
 - To ginąca sztuka. Tylko ja jeszcze ją uprawiam.
 - Sądziłem, że laibonowie rzucają zaklęcia i szykują uroki.
 - Także zdejmują klątwy - a twoje noce, i nawet dni, są przecież przeklęte, prawda?
 - Zdaje się, że sam wszystko wiesz.
 - Wiem, że zrobiłeś coś złego i że prześladowuje cię nie tylko zjawia własnego uczynku, ale też widma przyszłości.
 - A ty potrafisz odegnąć te sny?
 - Dlatego właśnie wezwałem cię do siebie.
 - Ale jeśli postąpiłem tak okropnie, czemu chcesz mi pomóc?
 - Nie zajmuję się osądami moralnymi. Jestem tu tylko po to, by pomagać Masajom.
 - A co z Masajami mieszkającym przy wąwozie? - spytał Meromo. - Tymi, którzy nawiedzają moje sny?
 - Kiedy poproszą o pomoc, pomogę i im.
 - Możesz sprawić, by zakopane tam materiały zniknęły?
- Mulewo potrząsnął głową.
- Nie potrafię odmienić tego, co zostało uczynione. Nie umiem nawet złagodzić twojego poczucia winy. Mogę tylko przegnać je z twych snów.
 - To mi wystarczy.
- Zapadła krępująca cisza.
- Co teraz? - spytał w końcu Meromo.
 - Przynieś mi ofiarę, odpowiadającą rozmiarowi przysługi, jakiej oczekujesz.
 - Mogę od razu wypisać czek albo przelać pieniądze bezpośrednio na twoje konto.
 - Mam więcej pieniędzy, niż potrzebuję. Muszę dostać

ofiarę.

- Ale...

- Przynieś ją. Jutro wieczorem - dodał Mulewo.

Meromo przez długą chwilę przyglądał się staremu laibonowi, po czym wstał i wyszedł bez słowa. Następnego ranka zadzwonił do pracy, informując, że jest chory, i odwiedził dwa najlepsze sklepy z antykami w Dodomie. Wreszcie znalazł to, czego szukał, potrącił należność z osobistego rachunku i zabrał przedmiot do domu. Bał się zdrzemnąć po obiedzie, toteż całe popołudnie czytał książkę i po zjedzeniu pospiesznego posiłku wrócił do mieszkania Mulewo.

- Co mi przyniosłeś? - spytał szaman.

Meromo położył przed starcem paczkę.

- Nakrycie głowy ze skóry lwa - odparł. - Podobno kiedyś nosił je sam Sendayo, największy ze wszystkich laibonów.

- Nie nosił - przerwał mu Mulewo, nie rozwijając papieru. - Niemniej to stosowna ofiara. - Sięgnął pod czerwoną tkaninę i wyciągnąwszy mały naszyjnik podał go Meromo.

- Po co to? - spytał tamten, oglądając naszyjnik. Zrobiono go z małych kostek połączonych drutem.

- Musisz założyć go dziś przed snem - wyjaśnił starzec. - Wchłonie twoje wizje. Potem, jutro, pojedziesz nad Wąwóz Olduwai i ciśniesz go na dno, aby wizje spoczęły obok rzeczywistości.

- I to wszystko?

- To wszystko.

Meromo wrócił do swego mieszkania, założył naszyjnik i poszedł spać. Tej nocy jego sny były gorsze niż kiedykolwiek przedtem.

Rano wsunął naszyjnik do kieszeni i poleciał rządowym samolotem do Arushy. Tam wynajął pojazd naziemny i w dwie godziny później stał już na szczycie urwiska. Nie dostrzegł nawet

śladu zagrzebanych pojemników.

Ścisnął w dłoni naszyjnik, po czym cisnął go daleko w głąb wąwozu.

Tej nocy jego koszmary zniknęły.

Sto trzydzieści cztery lata później potężna Kilimandżaro zadrżała w posadach, gdy od dawna uśpiony wulkan na krótko przebudził się do życia.

Sto mil dalej ziemia na dnie Wąwozu Olduwai osunęła się i trzy wyłożone ołowiem pojemniki pękły.

Joseph Meromo od dawna już nie żył i, na nieszczęście, nie było też żadnych laibonów,

którzy pomogliby ludziom, przeżywającym jego nagle urzeczywistnione koszmary.

*

Badanie naszyjnika przeprowadziłem we własnej kwaterze, a kiedy ją opuściłem, by zameldować o moich odkryciach, stwierdziłem, że w całym obozie panuje gorączkowe podniecenie.

- Co się stało? - spytałem Bellidorego.

- Egzobiolog nie wróciła z wąwozu - odrzekł.

- Od jak dawna jej nie ma?

- Wyruszyła wczoraj o zachodzie słońca. Jest już rano, a ona nie wróciła ani nie próbowała użyć komunikatora.

- Boimy się... - ...że mogła... - ...upaść i... - ...gdzieś utknąć. Albo nawet... - ...stracić przytomność - dodały Bliźnięta Gwiazdny Pył.

- Wysłałem Historyka i Znacwę na poszukiwania - oznajmił Bellidore.

- Ja też mógłbym pomóc - zaproponowałem.

- Nie, ty masz do zbadania ostatni przedmiot - odparł. -

Kiedy Moriteu się obudzi, poślę także je.

- A Mistyczka? - spytałem.

Bellidore spojrział na nią i westchnął.

- Od chwili lądowania na tej planecie nie odezwała się nawet słowem. Prawdę mówiąc, nie rozumiem jej funkcji w zespole. A zresztą i tak nie wiem, jak się z nią porozumieć. Bliźnięta Gwiazdny Pył razem kopnęły z irytacją ziemię, wzbijając parę obłoczków rdzawego kurzu.

- To śmieszne... - powiedział jeden.

- ...że potrafimy znaleźć nawet najmniejszy przedmiot... - dodał drugi.

- ...ale nie umiemy odszukać... - ...całej Egzobiolog.

- Czemu nie pomożecie w poszukiwaniach? - spytałem.

- Cierpią na lęk wysokości - wyjaśnił Bellidore.

- Przeszukaliśmy... - ...cały obóz - broniły się Bliźnięta.

- Mogę odłożyć wchłonięcie kolejnego znaleziska do jutra i pomóc - zaproponowałem.

- Nie - nie zgodził się Bellidore. - Wezwałem już statek. Jutro odlatujemy i chcę, abyśmy do tego czasu zakończyli badanie wszystkich obiektów. Odnalezienie Egzobiolog to moje zadanie; twoim jest odczytanie historii ostatniego znaleziska.

- Skoro tak sobie życzysz. Gdzie ono jest?

Poprowadził mnie do stołu, gdzie Historyk i Znacwa oglądali wcześniej przedmiot.

- Nawet ja wiem, co to jest - oznajmił Bellidore. - Nie wystrzelony pocisk. - Urwał. - Zważywszy, że w wyższych warstwach nie znaleźliśmy żadnych innych ludzkich śladów, powiedziałbym, że to niepowtarzalne znalezisko: kula, której człowiek postanowił nie wystrzelić.

- Rzeczywiście, jeśli spojrzeć nań pod takim kątem, może budzić ciekawość - odrzekłem.

- Czy zamierzasz... - ...rozpocząć badania... - ...już w tej

chwili? - spytały z lękiem Bliźnięta Gwiazdny Pył.

- Owszem.

- Zaczekaj! - krzyknęły unisono.

Zamarłem nad pociskiem, one zaś poczęły cofać się powoli.

- Nie chcemy... - ...cię urazić... - ...ale twoje badanie znalezisk... - ...jest zbyt niepokojące.

To rzekłszy odbiegły, kryjąc się za jednym z zabudowań obozu.

- A ty? - zapytałem Bellidorego. - Czy wolisz, abym wstrzymał się do twojego odejścia?

- Ależ nie. Odmienność gatunkowa fascynuje mnie. Za twoim pozwoleniem chciałbym zostać i obserwować cały proces.

- Jak sobie życzysz - powiedziałem. Moje ciało rozpląnęło się wokół pocisku, póki nie stał się częścią mnie, a jego historia - moją własną historią, jasną i wyraźną, jakby wszystko zdarzyło się wczoraj...

*

- Nadchodzą!

Thomas Naikosiai spojrział na siedzącą naprzeciwko żonę.

- Czy choć przez moment wątpiłaś, że przyjdą?

- To było głupie, Thomas! - warknęła. - Teraz zmuszą nas do odejścia, a ponieważ nie poczyniliśmy żadnych przygotowań, będziemy musieli zostawić cały nasz dobytek.

- Nikt nie odchodzi - oznajmił Naikosiai.

Wstał i podszedł do szafy.

- Zostań tutaj - polecił, nakładając długi płaszcz i maskę. - Spotkam się z nimi na zewnątrz.

- To zarówno niegrzeczne, jak i okrutne, kazać, by stali na dworze, skoro przebyli tak długą drogę.

- Nie zapraszałem ich - oznajmił Naikosiai. Sięgnął głę-

boko do szafy i chwycił opartą o ścianę strzelbę. Następnie zamknął drzwi, skierował się do śluzy i wyszedł na werandę.

Stało tam sześciu mężczyzn odzianych w stroje ochronne i filtrujące powietrze maski.

- Już czas, Thomasie - powiedział najwyższy z nich.

- Może na was - odparł Naikosiai, od niechcienia przyciskając strzelbę do piersi.

- Czas na nas wszystkich - rzekł wysoki mężczyzna.

- Nigdzie się nie wybieram. To mój dom. Nie porzucę go.

- Jest tylko wrzodem na gnijącym, skażonym ciele tego kraju - padła odpowiedź. - Wszyscy stąd odchodzimy.

Naikosiai potrząsnął głową.

- Mój ojciec urodził się na tej ziemi, podobnie jak jego ojciec i ojciec jego ojca. Wy możecie sobie uciekać przed niebezpieczeństwem, jeśli chcecie; ja zostanę i będę walczył.

- Jak chcesz pokonać promieniowanie? - spytał ostro wysoki mężczyzna. - Czy możesz je zastrzelić? Jak zamierzasz walczyć z powietrzem, którym nie da się już oddychać?

- Więc odejdźcie - rzekł Naikosiai. Nie potrafił odpowiedzieć na ich pytania, wiedział jednak, że nigdy nie porzuci domu.

- Nie żądam, abyście zostali. Nie wymagajcie, abym poszedł z wami.

- To dla twojego dobra, Naikosiai - wtrącił inny mężczyzna. - Jeśli nie dbasz o własne życie, pomyśl o żonie. Jak długo jeszcze będzie mogła oddychać tym powietrzem?

- Dostatecznie długo.

- Może niech ona sama podejmie decyzję?

- Przemawiam w imieniu całej rodziny.

Z grupy wystąpił starszy mężczyzna.

- Ona jest moją córką, Thomasie - oznajmił surowo. - Nie pozwolę, żebyś skazał ją na życie, które sam sobie wybrałeś. Nie

zgodzę się też, aby zostali tu moi wnukowie. Stary człowiek postąpił kolejny krok w stronę werandy i nagle ujrzał wycelowaną w siebie lufę strzelby.

- Nie zbliżaj się - uprzedził Naikosiai.

- Są Masajami - nie ustępował stary. - Muszą udać się wraz z innymi Masajami na nasz nowy świat.

- Wy nie jesteście Masajami - rzucił z pogardą Naikosiai. - Masajowie nie porzucili swej ojczyzny, kiedy zaraza bydłęca zniszczyła ich stada, ani kiedy przybyli biali ludzie, ani gdy rządy sprzedały ich ziemię. Masajowie nigdy się nie poddają. Ja jestem ostatnim Masajem.

- Bądź rozsądny, Thomasie. Jak możesz nie poddać się światu, na którym ludzie nie mogą dłużej bezpiecznie żyć? Leć z nami na Nową Kilimandżaro.

- Masajowie nie uciekają przed niebezpieczeństwem - odparł Naikosiai.

- Powtarzam, Thomasie Naikosiai, że nie pozwolę, abyś skazał moją córkę i wnuków na życie w tym piekle. Ostatni statek startuje jutro rano. Będą na jego pokładzie.

- Zostaną ze mną, żeby stworzyć nowy naród masajski.

Szóstka mężczyzn poszeptowała między sobą i ich przywódca spojrzął na Naikosiaiego.

- Popelniasz straszny błąd, Thomasie - rzekł. - Gdybyś zmienił zdanie, czeka na ciebie miejsce na statku.

Odwrócili się, by odejść, lecz stary człowiek przystanął i popatrzył na Naikosiaiego.

- Wrócę po moją córkę - oświadczył.

Naikosiai machnął strzelbą.

- Będę czekał.

Starzec odwrócił się i ruszył za pozostałymi, a Naikosiai przez służbę wrócił do domu. Wykładana glazurą podłoga cuchnęła środkiem odkażającym, a widok telewizora jak zaw-

sze obrażał jego oczy. Żona czekała na niego w kuchni wśród dziesiątków gadżetów, które kupiła przez te wszystkie lata.

- Jak możesz zwracać się do Starszych z takim brakiem szacunku? - spytała gwałtownie. - Zhańbiłeś nas!

- Nie! - warknął. - To oni zhańbili nas swym odejściem!

- Thomasie, nasze pola stały się jałowe. Wszystkie zwierzęta wyginęły. Nie da się nawet oddychać powietrzem bez maski. Czemu upierasz się, by zostać?

- To ziemia naszych przodków. Nie porzucimy jej.

- Ale wszyscy pozostali...

- Mogą robić, co zechcą - przerwał jej. - En-kai ich osądzi, podobnie jak nas wszystkich. Nie boję się spotkania z moim stwórcą.

- Czemu jednak musisz spotkać go tak wcześnie? - nalegała. - Oglądałeś taśmy i dyski z Nowej Kilimandżaro. To piękny świat, złoty i zielony, pełen rzek i jezior.

- Kiedyś Ziemia także była złocista i zielona, pełna rzek i jezior - odparł Naikosiai. - Zrujnowali ten świat. Zniszczą też następny.

- Nawet jeśli to uczynią, my już dawno umrzemy. Chcę lecieć.

- Już o tym rozmawialiśmy.

- I nasze dyskusje zawsze kończyły się poleceniem, nie racjonalnym argumentem. - Jej twarz złagodniała. - Thomasie, przed śmiercią chciałabym choć raz ujrzeć wodę, którą można pić, nie dodając do niej chemikaliów. Chciałabym zobaczyć antylopy, pasące się na długiej, zielonej trawie. Chciałabym prze spacerować się przed domem bez konieczności chronienia się przed zabójczym powietrzem.

- Decyzja już zapadła.

Kobieta potrząsnęła głową.

- Kocham cię, Thomasie, ale nie mogę tu zostać, i nie

pozwole, by zostały też moje dzieci.

- Nikt nie odbierze mi synów! - ryknął.

- Tylko dlatego, że nie dbasz o swoją przyszłość, nie możesz pozbawiać jej naszych dzieci.

- Ich przyszłość jest tu, gdzie zawsze żyli Masajowie.

- Proszę, tato, chodź z nami - powiedział cichy głosik, dobiegający zza jego pleców. Naikosiai obrócił się i ujrzał swych dwóch synów, ośmio- i pięcioletka, stojących w drzwiach sypialni. Obaj przyglądali mu się.

- Co im opowiadałaś? - zapytał podejrzliwie.

- Prawdę - odparła jego żona.

Naikosiai ponownie odwrócił się do chłopców.

- Podejdźcie tu - polecił i podreptali ku niemu przez pokój.

- Kim jesteście? - spytał.

- Chłopcami - odpowiedział młodszy.

- Kim jeszcze?

- Masajami - odrzekł starszy.

- Zgadza się - oświadczył Naikosiai. - Wywodzicie się z rasy olbrzymów. Gdybyście wspięli się na szczyt Kilimandżaro, ujrzełibyście stamtąd ogromny szmat ziemi. Kiedyś jak okiem sięgnąć należała ona do nas.

- Ale to było bardzo dawno temu - zauważył starszy chłopiec.

- Któregoś dnia znów będzie nasza. Musisz pamiętać o swych korzeniach, synu. Jesteś potomkiem Leeyo, który zabił swą włócznie setkę lwów; Neliona, który wypowiedział wojnę białym i przegnał ich ze Szczeliny, Sendayo, największego ze wszystkich laibonów. Kiedyś Kikuju, Wakamba i Lumbwa drżeli ze strachu na samo wspomnienie słowa Masajowie. To twoje dziedzictwo; nie odrzucaj go.

- Ale Kikuju i pozostałe szczepy już odeszli.

- Co to za różnica dla Masajów? Nie stawaliśmy jedynie

przeciw Kikuju i Wakambom, ale przeciw wszystkim, którzy pragnęli zmienić nasze zwyczaje. Nawet gdy Europejczycy podbili Kenię i Tanganikę, nigdy nie pokonali Masajów. Kiedy nadeszła Niepodległość, a pozostałe szczepy przeniosły się do miast, przywdziały garnitury i zaczęły małpować Europejczyków, my się nie zmieniliśmy. Nosiliśmy własne stroje i żyliśmy własnym życiem, bo byliśmy dumni z tego, że jesteśmy Masajami. Czy to nic dla was nie znaczy?

- Jeżeli jednak odlecimy na nowy świat, czyż nie pozostaniemy Masajami? - spytał starszy z chłopców.

- Nie - odrzekł stanowczo Naikosiai. - Między Masajami i ich ziemią istnieje nierozzerwalna więź. My określamy nasz kraj, a on określa nas. To o niego zawsze walczyliśmy, to jego broniliśmy przed obcymi.

- Ale teraz jest zupełnie zniszczony.

- Porzucilibyście mnie, gdybym zachorował?

- Nie, tato.

- I tak jak nie opuścilibyście w chorobie mnie, nie opuścimy naszej chorej ziemi. Kiedy coś kochamy, gdy to coś staje się częścią nas samych, nie opuszczamy go tylko dlatego, że choruje. Zostajemy i walczymy, by znów to uzdrowić, tak jak kiedyś walczyliśmy, aby je zdobyć.

- Ale...

- Wierzcie mi - przerwał synowi Naikosiai. - Czy kiedykolwiek was okłamałem?

- Nie, tato.

- Nie kłamię też teraz. Jesteśmy ludem wybranym przez Enkai. Mieszkamy na ziemi, którą On nam podarował. Nie rozumiecie, że musimy tu zostać, musimy dotrzymać przymierza z En-kai?

- Ale to znaczy, że już nigdy nie zobaczę moich przyjaciół! - jęknął młodszy syn.

- Znajdziesz sobie nowych.
- Gdzie? - zapłakał chłopiec. - Wszyscy odeszli!
- Przestań natychmiast! - rozkazał ostro Naikosiai. - Masajowie nie płaczą.

Chłopiec nadal szlochał i Naikosiai spojrział na swą żonę.

- To twoja sprawka - rzekł. - Zepsułaś go.

Patrzyła mu prosto w oczy, nie odwracając wzroku.

- Pięcioletnim dzieciom wolno płakać.

- Nie dzieciom Masajów.

- Zatem nie jest już Masajem i nie powinieneś się sprzeciwiać, kiedy odejdzie ze mną.

- Ja też chcę iść! - zawołał ośmiolatek i nagle po jego policzkach także popłynęły wymuszone łzy.

Thomas Naikosiai przyjrzał się swojej żonie i dzieciom - naprawdę im się przyjrzał - i pojął, że w istocie wcale ich nie zna. To już nie była łagodna dziewczyna, wychowana zgodnie z tradycją ich ludu, którą poślubił przed dziewięciu laty. Ci zapłakani, rozpieszczeni chłopcy nie byli potomkami Leeyo i Neliona.

Podszedł do drzwi i otworzył je na oścież.

- Odejdźcie do swego nowego świata razem z resztą czarnych Europejczyków - warknął.

- Czy pójdziesz z nami? - spytał starszy chłopiec.

Naikosiai odwrócił się do żony.

- Rozwodzę się z tobą - oznajmił zimno. - Odtąd nic już nas nie łączy.

Podszedł do dzieci.

- Wyrzekam się was. Nie jestem już waszym ojcem ani wy - moimi synami. A teraz idźcie! Żona założyła chłopcom maski i płaszcze, po czym także przywdziała strój ochronny.

- Przed świtem przyślę kogoś po moje rzeczy - powiedziała.

- Jeżeli ktokolwiek stanie na mojej ziemi, zabiję go - odparł

Naikosiai.

Popatrzyła na niego z czystą, niekłamana nienawiścią. Następnie wzięła dzieci za ręce i wyprowadziła je z domu na drogę, prowadzącą do czekającego w dali statku.

Przez kilka minut Naikosiai, wściekły, krążył po domu. W końcu podszedł do szafy, nałożył płaszcz i maskę, wyciągnął strzelbę i wyszedł na dwór. Widoczność była raczej kiepska, toteż ruszył w stronę drogi, żeby sprawdzić, czy nikt się nie zbliża. Nie dostrzegłszy żadnego poruszenia, poczuł niemal zawód.

Zamierzał pokazać im, jak Masaj chroni swoją własność.

I nagle zrozumiał, że Masajowie nie tak bronili swego.

Podszedł na skraj wąwozu, odsunął zamek strzelby i wyrzucił w przepaść pociski - jeden po drugim. Potem uniósł nad głowę broń i cisnął ją ich śladem. Następnie zniknął płaszcz, po nim maska, wreszcie ubranie i buty.

Wrócił do domu i wyciągnął na środek specjalną skrzynię, w której przechowywał najcenniejsze pamiątki. Tam właśnie znalazł to, czego szukał: prosty kawałek czerwonej tkaniny. Podpiął ją na ramieniu.

W łazience dokonał przeglądu kosmetyków żony. Dopiero po pół godzinie zdołał dobrać właściwą kombinację, ale gdy wyszedł, jego włosy były czerwone, jakby wymazane gliną. Przystanął przy kominku i zdjął wiszącą nad nim włócznię. Rodzinna tradycja głosiła, że kiedyś służyła samemu Nelionowi; nie do końca w to wierzył, lecz niewątpliwie była to broń Masaja, skrwawiona w wielu bojach i polowaniach dawno minionych stuleci.

Naikosiai przeszedł przez służbę i stanął przed swym domem - swoją manyattą. Bose stopy wsparł w schorowaną ziemię, drzewce włóczni spoczęło obok prawej nogi, i stał tak, czujnie pełniąc straż. Cokolwiek nadejdzie tą drogą - banda czarnych Europejczyków, zamierzających okraść go z jego własności,

powracający z przeszłości lew, grupa Nandich bądź Lumbwów, przybywających zabić nieprzyjaciela swego szczepu - zastanie go gotowego.

Wrócili tuż po wschodzie słońca licząc, że zdołają go przekonać do emigracji na Nową Kilimandżaro, i zastali ostatniego Masaja z płucami rozsadzonymi przez zatrute powietrze. Jego martwe oczy patrzyły dumnie w dal, gdzie niegdyś rozciągała się sawanna, wypatrując wroga, którego tylko on mógł dostrzec.

★

Wypuściłem pocisk, krańcowo wyczerpany; siła niemal mnie opuściła, emocje osłabły.

A zatem tak zakończyła się historia Człowieka na Ziemi, niecałą milę od miejsca, w którym się kiedyś zaczęła. Tak odważnie i głupio, moralnie i bezwzględnie. Miałem nadzieję, że ostatnie znalezisko uzupełni układankę; zamiast tego powiększyło tylko zbiór tajemnic związanych z tą najbardziej waleczną i fascynującą z ras.

Nic nie wykraczało poza ich możliwości. Można by sądzić, że od chwili, kiedy pierwszy pierwotny człowiek uniósł wzrok i ujrzał gwiazdy, dni galaktycznego pokoju i wolności były policzone. A przecież wyruszyli do gwiazd nie tylko ze swą żądzą, lękami i nienawiścią, ale też przynosząc nowe technologie i medycynę; nie tylko łotrzy, ale i bohaterowie.

Większość ras galaktyki zostało nakreślonych przez Stwórcę w pastelowych barwach; Ludzie płonęli całą gamą jaskrawych kolorów.

Wróciłem do swej kwatery, aby odzyskać siły. Miałem wiele do przemyślenia. Nie wiem, jak długo leżałem, senny i nieruchomy, gromadząc energię, musiało jednak upłynąć sporo czasu,

bo noc nadeszła i minęła, nim w końcu poczułem się gotów do spotkania z resztą zespołu.

Kiedy opuściłem kwaterę i skierowałem się na środek obozu, usłyszałem krzyk od strony wąwozu. W chwilę później pojawił się Znacznik wiozący na wózkolocie wielki, sterylny worek.

- Co znalazłeś? - spytał Bellidore i nagle przypomniałem sobie, że Egzobiolog zaginęła.

- Niemal obawiam się zgadywać - odparł Znacznik, kładąc worek na stole.

Wszyscy członkowie wyprawy zgromadzili się wokół, on zaś zaczął wyciągać kolejne przedmioty: zakrwawiony komunikator, pogięty i zniszczony; połamany latający parawan, którym Egzobiolog osłaniała głowę przed promieniami słońca; odarty strzępek tkaniny; i wreszcie błyszczącą białą kość.

W chwili, gdy kość znalazła się na stole, Mistyczka zaczęła krzyczeć. Wszyscy zamarliśmy, wstrząśnięci nie tylko nagłośnią jej reakcji, ale też ponieważ od chwili, gdy dołączyła do naszego zespołu, po raz pierwszy dała jakikolwiek znak życia. Mistyczka dalej wpatrywała się w znalezisko i krzyczała, aż w końcu, zanim zdążyliśmy ją przepytwać albo usunąć jej z oczu kość, straciła przytomność.

- Nie sądzę, aby istniały wątpliwości co do tego, co się stało - oznajmił Bellidore. - Stworzenia napadły na Egzobiolog w drodze w głąb wąwozu i zabiły ją.

- Prawdopodobnie także... - ...zjadły - dodał Bliźnięta Gwiazdny Pył.

- Cieszę się, że odlatujemy stąd jeszcze dzisiaj - ciągnął dalej Bellidore. - Nawet po tysiącach lat duch Człowieka nadal zatruwa i niszczy ten świat. Te niezdarne stworzenia w żadnym razie nie są drapieżnikami; na Ziemi nie pozostały żadne mięsożerne zwierzęta. Lecz kiedy nadarzyła się sposobność, zaata-

kowały Egzobiolog i pożarły jej ciało. Mam niepokojące przecucie, że gdybyśmy zostali tu dłużej, nas także zatruloby barbarzyńskie dziedzictwo tej planety.

Mistyczka odzyskała przytomność i natychmiast znów zaczęła krzyczeć. Bliźnięta Gwiazdny Pył odprowadziły ją łagodnie do kwatery i podały jej środek uspokajający.

- Równie dobrze możemy stwierdzić to oficjalnie. - Bellidore odwrócił się do Historyka. - Zechciej proszę zbadać tę kość swoimi instrumentami i upewnić się, że to rzeczywiście szczątek Egzobiolog.

Historyk, do głębi wstrząśnięty, patrzył na kość.

- Była moją przyjaciółką! - powiedział wreszcie. - Nie mogę tego dotknąć, jakbym miał do czynienia z jeszcze jednym okazem.

- Musimy się upewnić - nalegał Bellidore. - Jeżeli to nie część Egzobiolog, istnieje nadal szansa, choćby nie wiem, jak nikła, że twoja przyjaciółka wciąż żyje.

Historyk z wahaniem sięgnął po kość, po czym gwałtownie cofnął rękę.

- Nie mogę!

W końcu Bellidore zwrócił się do mnie.

- Ty, Który Widzisz - rzekł - czy starczy ci sił, aby to zbadać?

- Tak - odpowiedziałem.

Wszyscy cofnęli się, robiąc mi miejsce, ja zaś pozwoliłem, by moje ciało powoli pokryło kość i ogarnęło ją całą. Wchłonawszy jej historię i przetrawiwszy ślady emocji, wypuściłem ją.

- To Egzobiolog - oznajmiłem.

- Jakie są pogrzebowe zwyczaje jej rasy? - zapytał Bellidore.

- Kremacja - wyjaśnił Znaczący.

- Rozpalmy zatem ogień i oddajmy mu to, co zostało z naszej przyjaciółki. Każdy z nas poświęci jej modlitwę, aby jej

dusza mogła wyruszyć w podróż Wieczną Ścieżką.
Tak też uczyniliśmy.

★

Statek wylądował jeszcze tego samego dnia i zabrał nas z planety. Dopiero teraz, w bezpiecznej odległości, gdzie nie grozi nam już jej wpływ, mogę odtworzyć to, czego dowiedziałem się ostatniego ranka.

Okłamałem Bellidorego - i całą grupę - bo kiedy dokonałem odkrycia, wiedziałem, że przede wszystkim mam obowiązek jak najszybciej zabrać ich z Ziemi. Gdybym powiedział prawdę, jeden lub kilku z nich chciałoby zostać na miejscu, są bowiem naukowcami o bystrych, ciekawych umysłach - ja zaś nigdy nie zdołałbym ich przekonać, że bystry, ciekawy umysł nie może mierzyć się z tym, co odkryłem podczas mojego siódmego i ostatniego spojrzenia na Wąwóz Olduwai.

Kość nie była częścią szkieletu Egzobiolog, Historyk, a nawet Moriteu, zorientowaliby się natychmiast, lecz przerażenie nie pozwoliło im jej zbadać. To była piszczel Człowieka.

Ludzka rasa wymarła przed pięcioma tysiącami lat - przynajmniej taka, jaką znaleźliśmy ją my, obywatele galaktyki. Lecz te niezgrabne, brzydkie nocne stworzenia, które tak pociągały nasze ogniska... - oto, czym stał się Człowiek. Nawet zanieczyszczenia i promieniowanie, którymi skaził swą własną planetę, nie zdołały go zabić. Odmieniły tylko jego postać do tego stopnia, że nie potrafiliśmy już dłużej jej rozpoznać.

Mogłem oczywiście podać im gołe fakty: że szczep tych pseudo-Ludzi zakradł się śladem Egzobiolog w głąb wąwozu, a potem zaatakował ją, zabił i, owszem, pożarł. Galaktyka zna wielu drapieżników.

Ale gdy zjednoczyłem się z piszczelą, gdy ujrzałem, jak raz

za razem opada na głowę i ramiona naszej towarzyszki, ogar-
nęło mnie poczucie mocy i radości, jakiego nigdy dotąd nie
doświadczyłem. Nagle wydało mi się, że spoglądam na świat
oczami właściciela kości.

Zobaczyłem, jak zabił własnego towarzysza, aby stworzyć
sobie broń, ujrzałem, jak planuje ograbić ciała starych i słabych,
by zdobyć więcej broni, dostrzegłem wizje podbojów innych
plemion, żyjących w pobliżu wąwozu.

Aż wreszcie, w chwili triumfu, on i ja spojrzeliśmy w niebo i
wiedzieliśmy, że kiedyś wszystko, co widzimy, będzie należało
do nas.

Z taką to wiedzą żyję od dwóch dni. Nie wiem, z kim
mógłbym się nią podzielić, jest bowiem rzeczą z gruntu niemo-
ralną eksterminować całą rasę jedynie z powodu śmiałości ich
marzeń i bezwzględności ambicji.

Jednak ta rasa uparcie nie chce umrzeć i muszę jakoś
ostrzec nas wszystkich, od prawie pięciu tysiącleci żyjących w
pokoju i harmonii.

To jeszcze nie koniec.

KONIEC